

P.10267



DWUTYGODNIK ILUSTROWANY

ROK III

I CZERWIEC 1939

Nr 9-10

NA ZAKRĘCIE

Jesteśmy nieco zepsuci, szybkim stosunkowo tempem rozwoju Stolicy w ciągu ostatnich lat pięciu.

My, stali mieszkańcy Stolicy, przywykliśmy już uważać za fakt zupełnie naturalny, że przybawają nam ulice o gładkich nawierzchniach, że rozwija się sieć kanalizacji, elektryfikacji, gazyfikacji, że dziatwa szkolna uczy się w nowoczesnie urządzonej gmachach, zamiast — w byle jak adaptowanych i drogo dzierżawionych domach prywatnych. Jeszcze przed kilkoma laty z uczuciem upokorzenia i uposledzenia stwierdzaliśmy, że centrum Warszawy otoczone jest przez zaniedbane przedmieścia, gdy w innych stolicach Europy otacza je jakby wieniec barwnych koszuw kwiecia — nowoczesne dzielnice willowe.

Nie chcemy już dzisiaj pamiętać, czym doniedawna jeszcze były Grochów, Wola, Saska Kępa.

Na postęp i rozwój Warszawy zwracają nam uwagę współobywatele, którzy powracają do Stolicy po kilkuletniej nieobecności. Jeszcze bardziej miarodajnym jest dla nas świadectwo cudzoziemców, jak Amerykanina Dewes'a, który jako obserwator gospodarczy mieszkał w Warszawie przez lat kilka, znał doskonale wszystkie jej braki i zaniedbania, a przybywszy do nas po pięcioletniej nieobecności, stwierdził, że Stolica Polski w rozwoju swym wzięła tempo „powyżej amerykańskiego”.

Ale *l'appetit vient en mangeant*.

Wszystkie dotychczasowe osiągnięcia, nie zadowalniają nas. Potrzeby już zaspokojone z tym większą wyrazistością uwydatniają istniejące dotychczas braki.

Niedawno zamknięta wystawa „Warszawa wczoraj, dziś, jutro” uprzytomniła setkom tysięcy mieszkańców, którzy ją zwiedzili, olbrzymie postępy, jakie poczyniła gospodarka Stolicy w ciągu lat pięciu. Ale wystawa ta dała im również czarowną, plastycznie wyobrażoną wizję przyszłości — wizję pięknej, dostojnej racjonalnie rozwiniętej Warszawy, godnej cha-

rakteru Stolicy potężnej Rzeczypospolitej Polskiej.

Warszawa przyszłości, która będzie mogła stanąć obok najpiękniejszych stolic najpotężniejszych państw Europy, stała się już elementem świadomości i ambicji ogółu mieszkańców Stolicy, celem ich niecierpliwych pragnień, oczekiwania.

By jednak Warszawa stać się miała tym, czym być powinna jako stolica mocarstwowej Polski, której znaczenie międzynarodowe tak wyraziście wzrosło w czasach najnowszych, na to potrzeba wiele jeszcze pracy, wysiłków twórczych, no i — pieniędzy.

Potrzeby inwestycyjne Stolicy obliczane są globalnie na 1 miliard zł.

Same bruki i nowy (jeden tylko!) most na Wiśle pochłona co najmniej 250 miln. zł. Zaopatrzenie wszystkich dzielnic miasta w wodociągi i kanalizację wymaga wkładu inwestycyjnego 300 miln. zł. Powiększenie taboru tramwajowego i autobusowego, budowa kolei podziemnej, na jednej przynajmniej linii, tak niezbędnej dla „rozkorkowania” ruchu ulicznego, pochłonie dalsze ćwierć miliarda zł. Trzeba wykończyć gmachy szkolne, zbudować nową elektrownię, budować szpitale, zakłady opiekuńcze, wzmacniać i rozwijać „płuca” Stolicy — parki i zieleńce.

Wszystko to wymaga nowych setek milionów zł. Cyfra miliarda złotych, potrzebnych na należyte zainwestowanie Stolicy nie jest bynajmniej przesadnie wysoka.

A środki realne?

Środki te Zarząd Miejski zdobywać musi na nowo co roku.

Dotychczasowa praca i doświadczenie pozwoliły gospodarce Stolicy ustalić plan na najbliższą przyszłość i ustanowić hierarchię potrzeb. Gospodarka ta w ciągu ostatniego pięciolecia nie była już charakterystyczną krzątaliną, łataniem najpilniejszych dziur, w miarę tego, jak narzuca je chwila bieżąca. Była to go-

spodarka planowa, którą słusznie stawiano za wzór wszystkim miastom Polski.

Wydatki inwestycyjne w ciągu lat pięciu stale wzrastały. W r. 1934 m. Warszawa uzyskała na swe inwestycje 13 i pół miliona zł, w r. 1935 — 19 miln., w r. 1936 — blisko 29 miln., w następnym — blisko 30, w ostatnim roku, z minionego pięciolecia — ponad 54 miln.

Obecna jednak gospodarka Stolicy znalazła się na niebezpiecznym zakręcie.

Na rok bieżący wstawiono do budżetu nadzwyczajnego Stolicy 35 miln. zł, równającą się przeciętnej rocznej sumie wydatków w ostatnim pięcioleciu.

Ale pieniędzy tych nie ma.

Wprawdzie budżet inwestycyjny z zeszłego roku — na szczęście nie został całkowicie wykonany. Pozostało niewyczerpanych ponad 7 miln. zł i w budżecie nadzwyczajnym zaoszczędzono 1 miln. zł. Pozwoliło to rozszerzyć tegoroczny plan inwestycyjny Stolicy do sumy 44 miln. 632 tys. zł.

Nie osiąga on więc sumy planu zeszłorocznego. Ale i wykonanie tego zmniejszonego planu inwestycyjnego Stolicy nie będzie łatwe. W dochodach realne pokrycie tego planu, zapewnione jest w wysokości niespełna 22 miln. złotych.

O drugą połowę preliniowanej sumy inwestycyjnej trzeba będzie zabiegać. Warszawie grozi nie tylko zwolnienie dotychczasowego tempa rozwoju gospodarki, ale niewykończenie niejednej z prac już rozpoczętych.

Grozi nam tedy najgorsza forma marnotrawstwa: marnowanie czasu, który uchodzi i nigdy nie wraca, niszczenie robót niedokończonych, wreszcie — zniechęcenie lub rozproszenie do innych dziedzin pracy tych sił twórczych — inżynierów, architektów, urbanistów, które Zarząd Stolicy zdołał zgromadzić, a których zapał i energia twórcza znajdowały należyte ujęcie i zastosowanie w dotychczasowym tempie rozwoju gospodarki miejskiej.

Gospodarce tej grozi obecnie uwsteczniczenie. Wiele potrzeb, które uznane zostały powszechnie jako pilne, niezbędne przejść mogą w krainę nieuiszczalnych marzeń.

Roboty rozpoczęte już w latach ubiegłych, jak Dom Turystyczny, Archiwum Miejskie, Betonownia, hale targowe na Żoliborzu, zajezdnia autobusów tamże mogą nie być całkowicie wykończone, jeśli miasto nie znajdzie środków na pokrycie budżetu inwestycyjnego.

Dalsza modernizacja arterii wylotowych, budowa nowego mostu przy ul. Karowej, budowa kolei podziemnej, przygotowanie terenów pod Wystawę r. 1944 — wszystko to musiałyby być odłożone na dalszą przyszłość do terminu bliżej nieokreślonego.

Liczba bezrobotnych, zatrudnionych przy robotach miejskich, która wynosi obecnie 6 i pół tysiąca, opłacanych z kredytów zeszłorocznych, musiałaby być znacznie zredukowana.

Aby ocenić należyte, czym groziłoby przer-

wanie robót na wielu odcinkach gospodarki Stolicy, i w ogóle — zwolnienie jej tempa u progu nowego pięciolecia, musimy uświadomić sobie należyte tę niezaprzeczoną prawdę, że znaczenie gospodarczego, kulturalnego i estetycznego rozwoju Stolicy wybiega daleko poza rogatki m. Warszawy. Warszawa nie jest jednym z miast w szeregu innych w Polsce.

Warszawa jest stolicą Rzeczypospolitej, jest reprezentantką Jej godności i znaczenia, jest miarą całego kraju nie tylko w oczach cudzoziemców, ale i obywateli polskich. Rozwój Stolicy, tempo tego rozwoju — to zagadnienie o znaczeniu ogólnopństwowym.

Jest to pewnik niezbity, przez najszersze sfery opinii społecznej należyte rozumiany.

Załamaniem się gospodarki Stolicy w jej rozwoju szczęśliwie zapoczątkowanym w ostatnim pięcioleciu, równałoby się osłabieniu tego nastroju wiary i ufności w siły własne, którego umacnianie i utrwalanie w społeczeństwie jest

nakazem bezwzględnym obecnej chwili dziejowej.

Nie chodzi jedynie o zaspakajanie potrzeb mieszkańców Stolicy.

Chodzi o nieosłabianie prestiżu moralnego Państwa, który jest ściśle związany z tempem pracy gospodarczej Stolicy i jej osiągnięciami a który stanowi jeden z najcenniejszych walorów tego uzbrojenia moralnego, które społeczeństwo zdobyło w czasach ostatnich.

Nie wątpimy, że znaczenie nie tylko gospodarcze ale i polityczne, ogólnopństwowe dalszego rozwoju w należytych tempie inwestycji w Stolicę jest należyte docenianie przez decydujące czynniki państwowe. Nie wątpimy przede wszystkim, że przy ich pomocy i przy zgodnej współpracy nowych sił, które weszły do nowej Rady Miejskiej, znajdą się środki, które z obecnego niebezpiecznego zakrętu pozwolą wyprowadzić gospodarkę miejską na równię i prostą drogę należyte szybkiego rozwoju i postępu.

A. Wieczorkiewicz.

S U W E R E N I i W A S A L E

Bitwa pod Grunwaldem, w której załamała się, po doznanej klęsce, militarna potęga Zakonu Krzyżackiego, odsunęła wprawdzie od Polski i Litwy bezpośrednie niebezpieczeństwo teutońskiego parcia na Wschód, ale wspaniałe to zwycięstwo, niewyzyskane należyte ani pod względem wojennym ani politycznym, nie zdołało zniszczyć gniazda, w którym osiadł Zakon, przekształcając je na twierdzę wypadową germańskiej ekspansji. Malborg nie został zdobyty, panowanie Krzyżaków nad zagarniętymi ziemiami Prus i Pomorza nie zostało zniesione.

Miasta pruskie, jęczące pod uciskiem Zakonu, zwiąawszy się ligą ku obronie powszechnej, szukały opieki w Polsce. Dopiero w wyniku długoletniej wojny za Kazimierza Jagiellończyka zrealizowała Rzeczpospolita częściowo owoce zwycięstwa Grunwaldzkiego. Poskromieni Krzyżacy prosili o pokój, który za pośrednictwem posła papieskiego zawarty został w Toruniu w roku 1466. Mocą traktatu toruńskiego wróciła do Polski zachodnia część Prus, zwana odtąd Prusami królewskimi wraz z Warmią; część tych ziem odzyskała Polska znowu w wyniku wojny Wielkiej Wojny. Wschodnią część Prus z Królewcem otrzymali od Polski Krzyżacy, jako ziemię lenną. Pierwszym hołdownikiem Polski był wielki mistrz Zakonu Ludwik von Erlichshausen, dwudziesty ósmy w pocście wielkich mistrzów w Zakonie od roku 1191.

Dopiero trzydziesty czwarty Wielki Mistrz Zakonu Albrecht, książę Brandenburski, siostrzeniec Zygmunta Starego, gdy przyjął nau-

kę Lutra i zerwał tym samym śluby zakonne, rozpoczął starania, aby Prusy Wschodnie, zwane później ksiązęctwami, otrzymać od Polski w lenno dla siebie i swego potomstwa oraz dla swych braci Kazimierza i Jerzego, również na prawie dziedzicznym w linii męskiej.



J. Matejko: Władysław Łokietek zrywa układy z Krzyżakami.

Sekularyzacja Prus i oddanie ich w lenno książętom Brandenburskim kończy trzyczsetnie niemal dzieje Zakonu Krzyżackiego na ziemiach polskich. Niestety, na miejscu Zakonu, wyrasta nowa siła i nowa organizacja państwowa, która przyjmuje tradycje Krzyżackie, dostosowując je do zmienionych warunków, siła równie Polsce wroga i równie wiarołomna. W cieniu potęgi Rzeczypospolitej, na ziemiach będących własnością Polski, organizuje się nowe państwo, którego istnienie oparte jest na

zagrabionych, wyłudzonych i podbitych ziemiach cudzych, a którego rozwój kieruje się z drapieżną zaborczością przeciw Polsce. Zakon przestał istnieć, ale jego tradycje zyskały wiernych spadkobierców w książętach, a później w królach pruskich, którzy niepomni przysięg wierności składanych na klęczkach przed majestatem Rzeczypospolitej, wierność tę przy każdej sposobności łamali, budując swą siłę na podstępnie, zdradzie i wiarołomstwie.

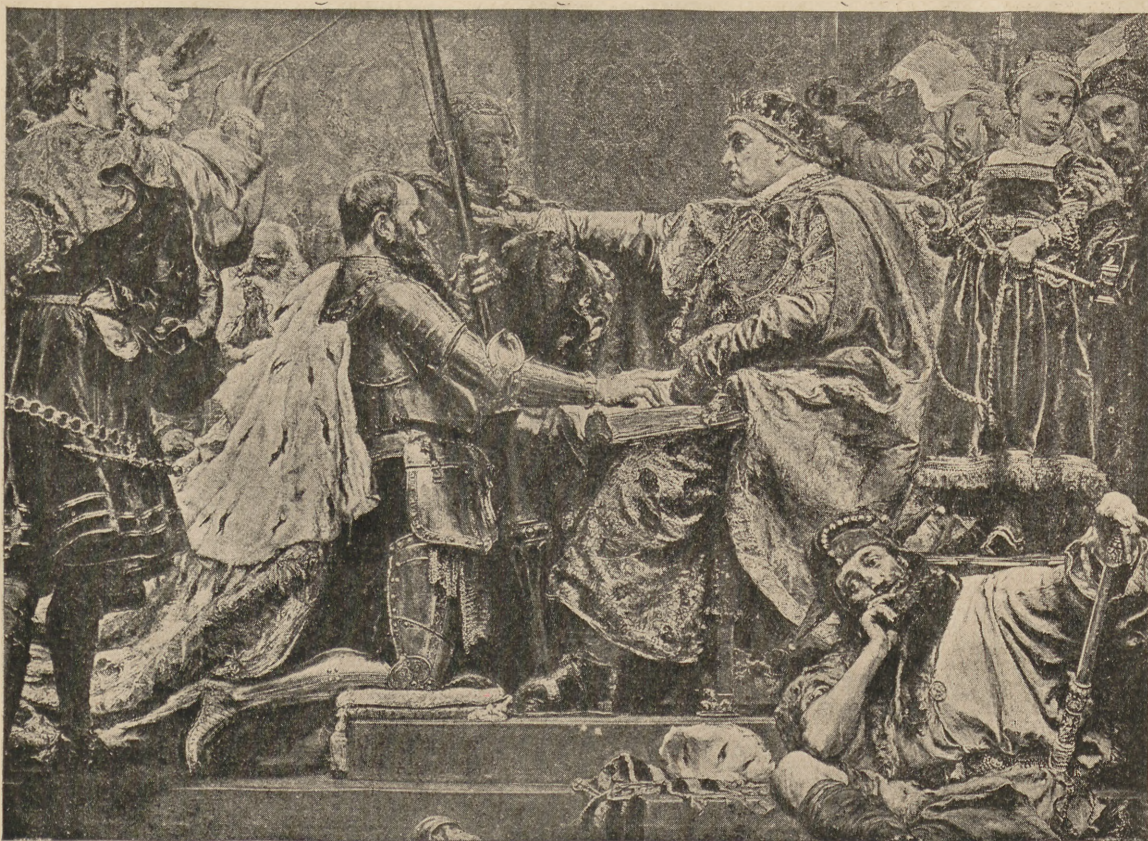
Dziś bardziej niż kiedykolwiek warto przypomnieć i te hołdy królom polskim przez wiarołomnych lenników składane i wygłaszane przez nich rotę przysięg, w których do wierności i posłuszeństwa Rzeczypospolitej po wieczne czasy się zobowiązywali.

Sześć razy elektorowie brandenburscy składali hołd królom polskim, jako książęta pruscy, zanim Fryderyk Wilhelm, tak zwany Wielki Elektor, zdradziwszy Rzeczpospolitą w ciężkich dla niej chwilach, za odstąpienie od zdrady uzyskał od Jana Kazimierza traktatem welawskim w roku 1657 uwolnienie od składania hołdu. Już następca Wielkiego Elektora w roku 1701 koronował się w Królewcu jako król Pruski, pod imieniem Fryderyka I.

Dwa hołdy w roku 1525 i 1550 przyjmowali królowie polscy w Krakowie, w r. 1569 hołd składany był w Lublinie, gdzie obradował Sejm, w roku 1578 Stefan Batory, w roku 1611 Zygmunt III i wreszcie w r. 1641 Władysław IV przyjmowali hołd elektorów brandenburskich w Warszawie.

Najbardziej znany, utrwalony w pamięci naszych pokoleń genialną wizją Matejki, jest hołd w roku 1525 składany przez pierwszego księcia pruskiego, a ostatniego Wielkiego Mistrza Zakonu Krzyżackiego Albrechta jego wujowi Zygmuntowi I w Krakowie. Monografiści Matejki kładą szczególny nacisk na pobudki, jakie wpłynęły na wielkiego malarza, że ten właśnie temat wraz z wcześniej namalowanym Grunwaldem uważał za tak niezmiernie ważne ogniwo w szeregu swych historycznych płócien. Zarówno konserwatysta, Stanisław Tarnowski, jak i radykał-postępowiec, Stanisław Witkiewicz, podkreślają zgodnie, że obydwa te wielkie obrazy były reakcją na atmosferę przynębienia, jaka zapanowała w krajach cywilizacji europejskiej po klęsce Francji pod Sedanem, po wielkim zwycięstwie Niemiec uwięzionym przyjęciem korony cesarskiej Niemiec przez króla pruskiego. Potęga niemiecka wydawała się wówczas niezwalczoną, buta pruska, brutalność i niesłychana pycha zwycięskich Niemiec zaciążyła nad Europą koszmarnym ciężarem. Odrodzone Krzyżactwo stanęło u szczytu potęgi, pragnąc dyktować światu swą wolę.

Matejko postanowił zaprotestować przeciw tej beznadziejności, postanowił przypomnieć



J. Matejko: Hołd Pruski — Zygmunt I i Albert.

zarówno swym rodakom jak i światu, że ta potęga niezwalczoną nie jest, bo była druzgotana, że ta pycha ugięła się w pokorze przed majestatem Rzeczypospolitej, że ta siła powstała z wiarołomstwa i zdrady.

Przecież Albrecht, klęcząc na Rynku Kra-

stępcę zmarłego w Królewcu w r. 1567 Albrechta — jego syna Albrechta II Fryderyka. Hołd ten przyjął 19 lipca 1569 roku w Lublinie król Zygmunt August.

Świadek naoczny tego publicznego aktu poddaństwa, Jan Kochanowski, tak go opisuje:

czynić, co na wiernego poddanego i hołdownika należy, chcę i powinien będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i te święte Ewangelie“.

Przed odczytaniem roty przysięgi, książę wygłosił przemówienie, w którym w słowach układnych i poważnych oświadczył Jego Kró-

Suwereni polscy.



Stefan Batory.

kowskim, przed królem Zygmuntem I, w dniu 10 kwietnia 1525 roku, przysięgał:

„Ja, Albrecht, margrabia brandenburski, a także w Prusiech, szczecińskie, pomerańskie, Kaszubów, Słowian etc. książę, burgrabia norymberski i pan Rugii, ślubuję i przysięgam Bogu Wszechmogącemu, że od tej chwili po wieczne czasy będę wiernym, uległym, hołdownym i posłusznym ze wszystkimi swoimi poddanymi duchownymi i świeckimi Najjaśniejszemu Miłościwemu Panu Zygmunтови, królowi polskiemu i jego potomkom oraz całej Koronie Polskiej w ten sposób, w jaki należy się i przystoi książęciu lennemu, miłośnikowi pokoju, a to według opisu i w sprawach, jak jest rozporządzone. Tak mi Boże dopomóż i święta Ewangelio“.

W tymże samym Krakowie 9 grudnia 1550 roku przysięgę tę i hołd przez posłów ponowił przed Zygmuntem Augustem.

Z podobnym ceremoniałem, jak pierwszy hołd pruski, odbył się trzeci, składany przez na-



Wiarołomny wasal niemiecki.

Oto w zacnym ubiorze i złotej koronie
Siadł pomazaniec Boży na swym Pańskim tronie,

Jabłko złote i złotą laskę w rękę mając,
A zakon Najwyższego na łonie trzymając,
Miecz przed nim srogi — ale złemu tylko srogi,
Niewinnemu na sercu nie uczyni trwogi,
Z obu stron zacny Senat koronny, a wkoło
Sprawiony zastęp stoi i rycerstwa czoło.

Przystap Olbrychcie młody, zacnych książąt plemię,
Który trzymasz w swej władzy piękną Pruską ziemię
Z łaski cných królów polskich; uczyń Panu swemu
Winną pocziwość, a ślub wiarę dzierżyć jemu.

Ową „winną pocziwość“ i ślub uczynił Albrecht Fryderyk w następujących słowach rot przysięgi:

„Ja, Olbrycht Fryderyk, margrabia brandenburski, w Prusiech, szczecińskie, pomorskie, słowiańskie, kaszubskie, rugijskie i burgskie, książę i burgrabia norymberski, obiecuję i przysięgam, iż Najjaśniejszemu książęciu, a panu Zygmunтови Augustowi, niezwyciężonemu królowi polskiemu, wielkiemu książęciu litewskiemu i ruskiemu i wszystkich ziem pruskich, panu i dziedzicowi, jako swemu przyrodzonemu i dziedzicznemu Panu i Jego Najjaśniejszej Królewskiej Mości, dziedzicom i potomkom królewskim i Koronie Polskiej będę wierny i posłuszny; Jego Królewskiej Mości najwyższego majestatu i dziedziców wszystkiej Korony Polskiej dobro obmyślować, szkód i niebezpieczeństwa przestrzegać i wszystko to

Suwereni polscy.

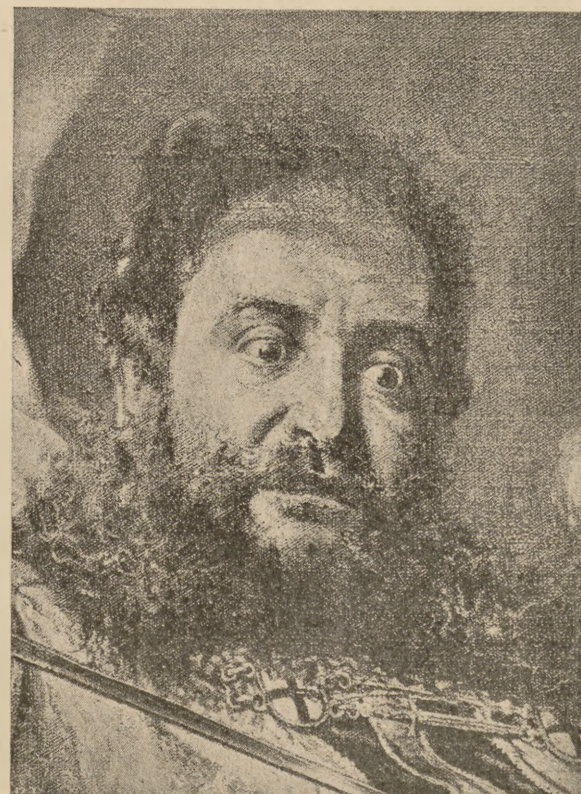


Zygmunt III.

lewskiej Mości „wiarę, poddaństwo i posłuszeństwo swoje“.

*

W trudnych niezmiernie warunkach obejmował władzę królewską w Polsce Stefan Batory. Obrany przeciw woli panów, którzy cesarza Maksymiliana Królem Polskim mieć chcieli a marszałek W. Kor. nawet go królem ogłosił, umacniać musiał swój wybór i siłą nawet. Skarb zastał pusty, szlachta podatków uchwalić nie chciała, dwory europejskie odniosły się do wyboru księcia siedmiogrodzkiego nieprzychylnie.



Wiarołomny wasal niemiecki.

Te przyczyny zapewne zmusiły króla, że zgodził się, aby Albrechtowi Fryderykowi, księciu pruskiemu, który, obłąkany, do sprawowania rządów nie był zdolny, przydać za opiekuna i regenta Jerzego Fryderyka, margrabiego na Anspachu, bratanka Albrechta I, i od niego hołd przyjmując i uroczystą przysięgę, zezwolić, aby zarówno jemu jak i posłom elektora brandenburskiego podana była chorągiew na znak przyszłego do księstwa pruskiego prawa.



Rycerz polski.

Zgodę na opiekę i rządy w Prusach margrabiego na Anspachu z niezadowolaniem przyjęli mieszkańcy Prus Książęcych, nieprzychylni domowi niemieckiemu, a izba poselska silnie narzekała na przyznanie praw do lenna pruskiego linii elektorskiej domu brandenburskiego, która w nadaniu lenna przez Zygmunta I praw tych nie miała.

Akt hołdu, składanego w imieniu chorego księcia przez margrabiego Anspachu w obecności posłów elektora brandenburskiego odbył się 26 lutego 1578 w Warszawie przed kościołem Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu. Jeśli realizowana będzie w przyszłości myśl wiceprezydenta Pohoskiego, aby utrwalić pamięć tych wielkich w dziejach stolicy historycznych wydarzeń, których miejscem było

tzw. szerokie Krakowskie Przedmieście (od skweru przy Bednarskiej w stronę placu Zamkowego), hołd pruski składany tu królowi Stefanowi Batoremu zajmie wśród nich właściwe sobie miejsce.

Po bezpotomnej śmierci Jerzego Fryderyka, margrabiego Anspachu, w roku 1604 opiekę nad obłąkanym Albrechtem i rządy w Prusach Książęcych objął Joachim Fryderyk, elektor brandenburski, którego syn, Jan Zygmunt, zaręczył się z starszą córką Albrechta. Po śmierci Joachima, na Sejmie warszawskim w roku 1611 „Janowi Zygmunтови, kurfirstowi brandenburskiemu, księstwo Pruskie lennym prawem pozwolone i hołdu przepisane kondycje, które on, po skończonym Sejmie do Warszawy przybywszy, w osobie swojej poprzysiągł i inwestyturę uroczystą na księstwo pruskie odebrał. Chorągwi elektorowi podanej trzech braci jego posłowie dotykali się, na znak pozwolonego od Rzeczypospolitej ich pryncypałow do nastąpienia prawa“.

Również w Warszawie złożony był dnia 7 października 1641 r. ostatni hołd królowi Władysławowi IV przez Fryderyka Wilhelma, zwanego Wielkim Elektorem, który był właściwym fundatorem potęgi militarnej Prus i organizatorem państwa o typie wojskowo-biurokratycznym. Według relacji Albrechta Radziwiłła „Elektor dwa razy królowi uczyniwszy rewerencję, przybliżywszy się do tronu na kolanach dość długo po łacinie perorował dobrym akcentem, któremu kanclerz koronny odpowiedział. Potem na Ewangelię przysięgę wykonał, którą mu czytał kanclerz. Po której znowu królowi dziękował za konferowane dobrodziejstwa. Po skończonych dziękach król go podniósł i na krzesło pod siebie posadził“.

Ten Wielki Elektor przysięgi swoje wkrótce złamał, jak i poprzednicy jego. Połączył się za panowania Jana Kazimierza ze Szwedami przeciw Polsce, a za zdradę znów Szwedów zażądał uwolnienia od hołdu oraz starostwa Drahimskiego i powiatów Łęborskiego i Bytowskiego. Traktatami w Welawie (1656) i w Bydgoszczy (1657) przyznanie mu tych żądań wymuszonych zdradą w najcięższych chwilach dla Rzeczypospolitej, której praw bronić przysięgał, otrzymał, z tym jednak zastrzeżeniem, że „gdyby linia Elektorska ustała tedy Prusy wrócić się do Polski mają, i znowu margarbiom na

Bayrejcie i Anspachu z młodszej linii pochodzącym, w hołd oddane będą“.

Koronacji jego syna Fryderyka na króla pruskiego nie uznawała Rzeczpospolita w ciągu 63 lat, jako niezgodnej z umowami. Dopiero w chwilach wielkiego osłabienia politycznego,



Rycerstwo niemieckie.

w roku 1764, Rzeczpospolita zgodziła się uznać tytuł króla Pruskiego Fryderykowi II, prawnukowi Wielkiego Elektora, ostatniego hołdownika Polski.

Przypomnienie owych sześciu hołdów pruskich, z których trzy widziała Warszawa, jest przypomnieniem momentów wielkiej potęgi Rzeczypospolitej, ale również przypomnieniem historycznego błędu, który początek swój bierze w owym dniu 10 kwietnia 1525 roku, gdy Albrechtowi brandenburskiemu Polska w lenno oddawała Prusy Wschodnie. Ze złą wiarą w sercu, z wiarołomnym zamysłem kłękali książęta pruscy przed majestatem Rzeczypospolitej krocząc po drodze podstęp, zdrady i grabieży do ugrutowania swej siły. Dziś widzimy jak bardzo „historia est magistra vitae“.

H. Eile

Smutny kalendarz w czasie okupacji niemieckiej

W dniu 5 sierpnia 1915 r. wojsko niemieckie wkroczyło do Warszawy i zajęło komendę miasta. W trzy lata i trzy miesiące później, w dniu 10 listopada 1918 r., w Warszawie rozbijono Niemców i wojsko polskie zajęło komendę miasta. Momenty te przedstawiają poniżej zamieszczone ryciny.

To, co w Warszawie działo się na przestrzeni owych trzech lat i trzech miesięcy, pozo-

staje w jaskrawej sprzeczności z treścią dawnego napisu, umieszczonego na jednym z domów na Starym Mieście przez właściciela tego domu, że on ma służyć: „najmilszym dziateczkom y sobie ku wygodzie“.

Na długo przed dniem 5 sierpnia 1915 r., Niemcy „stali swe bilety wizytowe w postaci aeroplanów, rzucających bomby na miasto“. Zraniły one 110 osób, przeważnie przypadko-

wych przechodniów. Wywoływało to wielki zamęt, zwłaszcza wśród obozujących na polu Mokotowskim, na Pradze, na ulicach Polnej, Bagateli itp. „uciekiniów“, którzy z różnych stron kraju, objętych działaniami wojennymi, przybyli do Warszawy na wozach, do których przywiązane było bydło.

Na podwórzach warszawskich zabawę dzieci przerywało wołanie matek, wydobywające

Kalendarz smutny.



Pierwsze placówki Niemców w Warszawie.

Kalendarz radosny.



Rozbrajanie Niemców.

się przez luŕci: „Zosiu, Stasiu, lotniki latają, zaraz mi do domu. Bo zawołałam ojca...”

Ale ojcowie mieli wówczas inne kłopoty. W przemyśle i handlu zastój. Jedyną „odpowiedzialną” klientelą są przybywający z frontu do Warszawy oficerowie, którzy zakupują ekwipunek wojskowy — dla siebie, zaś wyroby jubilerskie i przedmioty zbytku dla innych. Różne ciemne typy rozpowszechniają wieści o grożącym braku skór, węgla, mąki, cukru itp., co powoduje wzmagającą się z dnia na dzień drożyznę. Przyczynia się jeszcze do tego

niej do wspomnianych obozów zesłano dalszych trzech mieszkańców Warszawy za rozlepianie „odezw zakazanych”. Następnego dnia, 23 września, wydano zakaz urządzania pochodów i zebrań.

W dniu 1 października skasowano sklepowe reklamy świetlne. W tym samym dniu nałożono cenzurę prewencyjną na pisma i druki. W dziesięć dni później obłożono sekwestrem otręby. W dalsze dwa dni później rozszerzono monopol sprzedaży na tytoń i papierosy. W dniu 16 października ogłoszono sekwestr kości.

puszczono na miasto „głodowe” ruchome piecyki na kołach z prażonymi kartoflami. Jednocześnie sekcja żywnościowa rozpoczęła sprzedaż mięsa mrożonego. W dniu 14 grudnia rozszerzono karty żywnościowe także i na cukier. Ustalono, że z kart żywnościowych będzie korzystać 907.000 osób, łącznie z Pragą i przedmieściami. W pięć dni później straż obywatelska wykryła bandę fałszerzy kart żywnościowych. Dzień przedtem, niemiecki monopol wódczany rozpoczął sprzedaż napojów alkoholowych.

Warszawa podczas okupacji niemieckiej.



Zajęcie Komendy Miasta przez Niemców.

gromadzenie zapasów przez ludzi zamożniejszych, wycofanie z obiegu drobnej monety itd. Sprzedaż wódki była wzbroniona. Pito więc denaturat. Jego ofiarą, w ciągu pierwszych pięciu miesięcy wojny, padło w Warszawie 76 osób, które zmarły po przyjęciach imieninowych, weselnych itp.

Wszystko to jednak było sielanką w porównaniu ze stosunkami i warunkami, jakie nastąpiły po dniu 5 sierpnia 1915 r., tzn. po wejściu Niemców do Warszawy.

Już w pierwszym dniu ich pobytu w Warszawie zamknięto komunikację telefoniczną. W trzy dni później ustalono, że 60 rubli równa się 100 markom. W cztery dni później nakazano zgłaszanie samochodów i motocykli, zasobów metali, chemikaliów, wełny, bawełny i skór. W pięć dni później, 18 sierpnia, nakaz

Warszawa podczas okupacji niemieckiej.



W kolejce po kartki żywnościowe.

ten rozszerzono na zasoby zboża i mąki. Następnego dnia wprowadzono monopol na sprzedaż węgla, mięsa i mąki.

W dniu 3 września 1915 r. policja reguluje sprzedaż mąki, chleba, bułek i śmietanki. W tydzień później zniesiono sądy obywatelskie, które działały od dnia 9 sierpnia 1915 roku. W dwa dni później zaostrzono przepisy kwaterunkowe i rekwizycyjne. W dniu 19 września zesłano do obozu jeńców wojennych trzech mieszkańców Warszawy za niesienie w pochodzie „chorągwi zakazanych”. W trzy dni póź-

W dniu 10 listopada 1915 r. zasekwestrowano futra, w dniu 17 omawianego miesiąca zakazano używania jęczmienia w piwowarstwie oraz owsa i jęczmienia na paszę.

W dniu 3 grudnia 1915 r. sekcja żywnościowa Komitetu Obywatelskiego przerwała sprzedaż kartofli, co wywołało wielkie zaniepokojenie wśród ludności. W tym samym dniu, przy ul. Erywańskiej (obecnie: Kredytowej) otwarto pierwszą pracownię obuwia o drewnianej podszewie, gdyż skórzana „zelówka” kosztowała 4 — 5 rubli. W trzy dni później wy-

Nie będziemy kontynuowali tego smutnego kalendarza, gdyż to, co poprzednio podaliśmy, dostatecznie informuje o warunkach, wśród jakich żyła ludność Warszawy w dobie okupacji niemieckiej.

W miarę jej trwania, już nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę wzmagał się niedostatek i drożyzna. Jeden ze współczesnych kronikarzy podaje, że „brak nafty sprawia, iż rodziny uboższe kładą się spać o zmierzchu. Brak i drożyzna mięsa wołowego zmuszają ludność do przezwyciężenia odrzy i spożywania koniny. W rozkazach urzędowych jest nawet mowa o rzeźni psów, jednakże tej inowacji nie wprowadzono. Zamiast cukru coraz szerzej jest stosowana sacharyna”. Inny ze współczesnych kronikarzy informuje, że „w domach zamożniejszych boczek wieprzowiny

Kalendarz smutny.



Niemcy fotografują mieszkańców Warszawy do dowodów osobistych.

(funt: 1 rb. 50 kop.), dawniej jadany przez wyrobników, stanowi specjał, o który ubiegają się gospodynie. W celu zrównoważenia cen mięsa, rozmaite osoby rozwinęły agitację co do zaprowadzenia hodowli królików, co jednak nie dało poważniejszych wyników”. Jeszcze inny kronikarz podaje, że „liczba pustych sklepów w mieście olbrzymieje. Wielu pracowników i pracowników sklepowych znalazło się bez pracy. Mnożą się natomiast w sposób nieustosunkowany do potrzeby sklepy spożywcze, których działalność opiera się prze-

ważnie na wzajemnym podnoszeniu cen artykułów spożywczych. Następstwem zupełnego braku wędlin jest zmiana charakteru sklepów wędliniarskich. Jaja, masło, sery, zieleniny itp. są to towary, którymi handlują obecnie wędliniarze warszawscy. W jatkach zaś mięsnych, w dni braku mięsa, oprócz zielenin są sprzedawane owoce“.

Według informacji Kalendarzyka polityczno-historycznego miasta stoł. Warszawy na rok



Kartki chlebowe podczas okupacji niemieckiej.

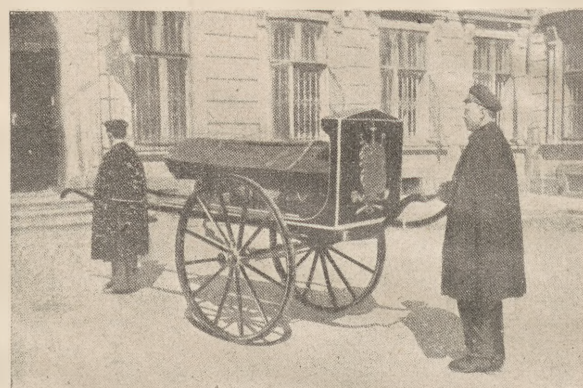
1917: „W poszukiwaniu opału, ludność uboga rozbiera w mieście parkany, ogrodzenia, szopy itp. Rozebrano nawet i rozchwytno przystań parostatków na Wiśle towarzystwa „Merkury“. Wartość parkanów, rozebranych przy ulicach Koszykowej, Hożej, na Woli, w Mokotowie i na Pradze, obliczają na kilkadziesiąt tysięcy rubli“.

Ruch na ulicy, pojazdów i pieszy, stale się zmniejszał, jedynie przed sklepami spożywczymi wystawały od świtu ogromne „ogonki“.

Gnębiona brakiem środków żywności i opału oraz drożyzną ludność warszawska „staje się łupem spekulacji — sztucznego obniżania wartości kursujących rubli, które ktoś przekłwa szpilką, co zmniejsza jakoby ich wartość o 10 do 20% w stosunku do marki. Sprawa ta nosi charakter umyślnego gromadzenia przez okupanta rubli i wprowadzenia zamiast nich na rynek marek, przyjmowanych niechętnie“. Ale i marki niemieckie są przedmiotem spekulacji, której zasadą „jest przyjmowanie na-

leżności markami po najniższej cenie i sprzedaż ich na giełdach pokątnych po cenie możliwie najwyższej“.

W miarę „braku i drożyzny paszy oraz zakupów koni na rzeź, liczba ich znacznie zmniejsza się w mieście“. co m. in. spowodowało, że konie u karawanów zastąpiono „ludzką siłą pociągową“. Jak wyglądał taki „ręczny“ karawan, ilustruje rycina.



Pogrzeb w czasie okupacji niemieckiej.

Totaliści w dawnej Warszawie*)

Warszawa, spadkobierczyni od końca XVI wieku dawnego „serca Polski“ Krakowa, nie przechodziła początkowo tyłu wzruszeń wywołanych tarciami różnych narodowości.

W XIV i XV wieku nie brak wprawdzie Niemców, ale toną oni wprost wśród rodzimej miejscowej ludności. A i ci Niemcy warszawscy przeważnie z pobliskich miast Torunia i Gdańska przybyli, lub jak jeden z największych kupców, Andrzej Edeling, z Krakowa.

W XVI wieku jest ich jeszcze mniej. Wzrastająca już w siłę i zamożność Stara Warszawa, ze względu na swoje położenie nad Wisłą na drodze do Gdańska przyciąga do siebie licznych Małopolan szczególnie z Krakowa, i teraz jednak ludność mazurska przede wszystkim to miasto zasila w nowych obywateli. Zaledwie kilku Niemców z dalszego zachodu w pierwszym ćwierćwieczu XVI wieku przybyło do Starej Warszawy, wśród nich zaś Baltazar Giza z Frankonii i Grzegorz Fucker z Norymbergi (rok 1516), który wnet zdobył sobie w mieście tak wybitne stanowisko, że chociaż Niemca, nie mówiącego po polsku, urzędami miejskimi chciano obarczyć, a gdy ze względu na obowiązujące przepisy trudno mu się było od tego zaszczytu wymówić, na usilne prośby król go jako nieświadomego polskiej mowy od przyjmowania godności miejskich uwalnia.

Zmieniły się stosunki od czasu, kiedy Warszawa stała się stolicą Polski. Liczniej już wtedy napływają do coraz bardziej rozrastającego się miasta cudzoziemcy, zarówno Niemcy, jak i Włosi, Szkoci, a później także Francuzi i Grecy. Na 56 kupców, jakich w r. 1659 wlicza katalog konfraterni kupieckiej, większa połowa posiada nazwiska obce, włoskie, francuskie i niemieckie. Najwięcej jednak Francuzów przybywało dopiero od końca XVII wieku i przez wiek następny. Kilkadziesiąt najpoważniejszych rodzin warszawskich jak Chevalier, Riaccour, Gauthier, Dufour, Rousseau, Latour etc., francuskie nazwiska nosiło, powinowacąc się z rodzinami szlacheckimi i najmożniejszymi mieszczańskimi, podobnie jak Włosi, których było prawie tyle co Francuzów. Francuzi zresztą i Włosi, a także więcej egzotyczni przybysze z Grecji, Persji lub Wołoszczyzny, zajmowali się prawie wyłącznie kupiectwem, natomiast Niemcy, którzy w XVIII w. masowo napłynęli do Warszawy, nie tylko na handlu robili majątek, ale również przemysł ujęli w swe ręce. Pod koniec XVIII w. handel warszawski znajdował się przeważnie w rękach obcych, przynajmniej w r. 1788 na 180 firm kupieckich, nie wiele tylko należało do rzeczywistych Polaków. W znacznej mierze byli to dyssydenci, którzy zresztą, podobnie jak katolicy, polonizowali się

dosyć szybko, jak np. Tepperowie, Witthofowie, Rautenstrauchy, Cabritty, Meysnery, Loberty, Dekerty, Trauguty etc., zajmując pierwszorzędne stanowiska w mieście.

Rzemiosła tak dalece opanowali Niemcy, że w drugiej połowie XVIII wieku przychodziło w cechach do walk narodowościowych z Polakami, które spowodowały oddzielenie czeladzi niemieckiej od polskiej, obydwie narodowości bawiły się i obradowały w odrębnych gospodach. Tak było w cechu krawieckim i kowalskim, a nie lepiej i w innych. Czeladź kowalska narodowości niemieckiej nie chciała nawet rządzić się statutami krajowymi, żądała wprowadzenia zagranicznych, niemieckich, a gdy się cech temu sprzeciwił, sama sobie niemieckie przepisy na swoich schadzках gospodnich uchwałała. Odnosiła się wrogo nie tylko do polskich towarzyszy, ale w ogóle do państwa polskiego. Jak zaś wielu było Niemców w cechach warszawskich, świadczy fakt, że gospoda szewska nacji niemieckiej w roku 1786 liczyła 163 katolików i 57 dyssydentów, czyli razem 220 Niemców, a we wszystkich cechach czeladzi dyssydenckiej, a zatem obcej i przede wszystkim niemieckiej, było 4000, bo w tej liczbie w roku 1788 z powodów religijnych czeladź Warszawę opuścić zamierzała. Obok dyssydentów nie brakowało przecież także katolickich Niemców, jak na to skład ich gospody szewskiej wskazuje. Mimo to, jak dawniej, miasto było w zupełności polskim i coraz bardziej zwracało uwagę na swój charakter narodowy polski. Właśnie w tym czasie prawie, bo w roku 1789, Stara Warszawa do przewodu sądowego wprowadza język polski w miejsce dotychczasowego łacińskiego. Nowa Warszawa zaś uczyniła to już dużo wcześniej, w roku 1773.

Może nie w tym stosunku zresztą co w Warszawie także w innych miastach nie brakowało obcych. W wieku XVII przede wszystkim spotykamy w nich Włochów i Szkotów, w następnym zaś wielu Niemców. Za dynastii bowiem saskiej ogromną falą napływają Niemcy do Polski z Saksonii, następnie z Austrii i Prus. Pod koniec XVIII wieku Kraków znowu jest przeładowany niemieckimi przybyszami z krajów austriackich, forytują ich zaś wszelkimi siłami austriackie władze.

Na zaradzenie złemu jednak szlachta nie umie się zdobyć, zadowalnia się satyrkami i paszkwilami na Niemców, Szkotów a szczególnie Włochów, których w połowie XVII w. Gabriel Krasiński, kasztelan płocki, z żydami porównuje „nie ich brzydką wiarą, ale fałszem i zdradą obłudną maszkara“. Karierę zaś kupiecką Włocha w Polsce w ten sposób charakteryzuje: Z Włoch przyjeżdża jako bankrut, błady, zbiedzony, że „przez dni kilka sierszeni tuzinby go zjadło, bo diabła ma być tłusty zmorzony chwaściami, karczochy, melonami, szparagami“.

Gdzieś w piwnicy wynajmuje sobie lokal i sprzedaje w nim południowe owoce, wnet się jednak tak utuczy, żeby go rodzony ojciec nie poznał. Spanoszywszy się trochę, wyjeżdża do Włoch już po drogie materiały i otwiera sklep w pierwszorzędnym miejscu. Dobrze mu się wiedzie i odpowiednio do tego zmienia życie i obyczaje:

Wnet popielec piżmowy rozsypie po głowie,
Wąsik sobie ustrzyże i usztafiruje,
Żelazkiem twarz wygładzi, sam uperfumuje.
Więc co pierw w piwnicy siedział z kasztanami,

Z daktelami, ślimaki i pomarańczami,
To się wnet spanoszywszy, jedzie po bławaty
I już u mnie otwiera sobie kram bogaty.

A trzymają się przy tym Włosi razem. W jednej kamienicy siedzą ciżbą jak żydzi, „po społu z sobą radzą i handlują, społem jedzą i piją społem szalbierują“.

A co pierw w tłumoczku miał i w pluderhoczach
Trochę czego, to z mego Krakowa na wozach.
Wyprowadzi pan szalbierz do swojej ojczyzny.

**STOŁECZNA
SPÓŁKA
BUDOWLANA**

SP. Z O. O.

WARSZAWA.

Nowy-Świat 41

TELEFON 2-92-31

**PRZEDSIĘBIORSTWO INSTALACYJNE
URZĄDZEN SANITARNYCH
St. DOBROWOLSKI i Syn**
INŻYNIEROWIE

Warszawa, ul. Wspólna Nr 64. Tel. 930-48.
WYKONYWA: instalacje wodociągowo-kanalizacyjne
ogrzewania centralne i wentylacje, instalacje
centralne z wodą gorącą, oczyszczalnie ścieków
wszelkich systemów, pralnie, kuchnie parowe,
kapieliska.

*) Fragment wyjęty z pracy J. Ptaśnika: „Miasta w Polsce“.

Zdzisław Andrzejowski

Sylwetka Germanina — straszliwy plotkarz Schomberg

W przedmowie do amerykańskiego wydania „Zwycięstwa” Joseph Conrad zwraca z naciskiem uwagę czytelników na postać nazwiskiem Schomberg. Niezwykle dyskretny i ostrożny w słowie Pisarz poświęcił tej postaci kilka zdań, których jasność i precyzja są tak wielkie, że budzą zrozumiałą zupełnie sensację.

Czytajmy: „Że uważam go za istotę prawdziwą, o tym mówić nie potrzebuję. Nikt nie przypuści, aby świadomie dawał lichy towar swoim czytelnikom. Schomberg jest dawnym członkiem mojej kompanii. W „Lordzie Jimie”, sięgającym jeszcze roku 1899, występował jako bardzo podrzędna osobistość, a w jednej z nowel^{*)}, wydanej w 1902 r. odegrał już rolę poważną. Tutaj ukazuje się w jeszcze większej roli, zgodnej z prawdą życiową (mam nadzieję) — a także i z własnym swoim charakterem.“ — a dalej: „Nie twierdzą wcale, że moja powieść daje całość germańskiej psychiki; ale jest to bezsprzecznie psychika Germanina“. (Podkreślenia moje) „Wspominam o tym aby podkreślić fakt, że Schomberg nie jest bynajmniej wcieleniem wrogich uczuć z ostatniej doby i że stanowi rezultat moich dawnych i poniekąd bezstronnych zapatrywań.“

Rzecz prosta, że ta ciekawiająca do najwyższego stopnia przedmowa staje się drogowskazem do zawarcia bliskiej znajomości z Schombergiem, zniewala do odszukania go w „Lordzie Jimie”, przyjrzenia mu się z rosnącym zainteresowaniem w „Falku”, a wreszcie do zdumionego podziwiania go ze zgrozą w „Zwycięstwie”. Tak, bo Schomberg wzbudzi w nas szeroką skalę uczuć; groteskowa jego psychika rozwijać się będzie i odsłaniać w naszych oczach przy najdrobniejszych nawet okazjach, śledzić będziemy każdy jego krok, każde słowo, każdy grymas ust i każde zmarszczenie brwi — nie zapominając ani na jedną chwilę, że „jest to bezsprzecznie psychika Germanina“.

Czas gruntowania się naszych zmiennych uczuć dla Schomberga będzie stosunkowo krótki — poznamy go szybko, bez reszty i niedomówień, a uczucia nasze uplasują się na płaszczyźnie pogardliwej zgrozy i szczerego oburzenia. Człowiek ten wystawi swej rasie świadectwo jak najgorsze. Ale... nie uprzedzajmy wypadków.

Nie znając przedmowy do „Zwycięstwa” — w „Lordzie Jimie” zaledwie zdołalibyśmy dostrzec naszego Germanina. Jest to tylko skromny hotelarz w Bangkoku, dobrze poinformowany o tym, co się dzieje w mieście, „nieposkromniony plotkarz wałkujący wszystkie skandale“. Jest nawet śmieszny trochę, gdy biada nad złamanym kijem bilardowym i uświadamia sobie, że nowy musi sprowadzić aż z Europy; jest nawet trochę sympatyczny, bo obdarza Jima miłym zdaniem.

Ot, tyle tylko, że spotkaliśmy go, dowiedzieliśmy się, że istnieje, lecz... wiemy już o nim więcej, niż może on przypuszczać.

Porzucamy więc Bangkok i przenosimy się do pewnego wschodniego portu. „Ów port był zarazem stolicą wschodniego królestwa, leżącego nieco w górę od ujścia rzeki, tak jak nieprzymierzając Londyn leży nad tą naszą starą Tamizą“. Chodzi tu zapewne o ten Bangkok, lecz nie będmy niedyskretni. Celem naszej podróży jest ponowne spotkanie Schomberga, a by ono nastąpiło — wystarczy zagłębić się w karty „Falka“. Spotkamy go natychmiast!

Kapitanowi, który opowie nam tę historię, zachorował steward. Trzeba było odesłać go do szpitala i poszukać zastępcy. Rzecz prosta, że taką sprawę załatwić może tylko Schomberg, hotelarz. Kandydata na zastępcę stewarda ma pod ręką: „Ten boy jest pierwszorzędnym.

Przybył ze switą jego ekscelencji komisarza Tsenga — pan wie. Jego ekscelencja Tseng mieszkał tu u mnie przez trzy tygodnie“...

Znakomity służący, polecony gorąco przez Schomberga, „zanim trzy dni upłynęły, okazał się zdecydowanym palaczem opium, szulerem, niesłychanie zuchwałym złodziejem i pierwszorzędnym szybkobiegaczem“, bo gdy skradł swemu nowemu panu wszystkie pieniądze — uszedł lekko zawziętej pogoni kilku ludzi. No cóż? „Towar“ Schomberga był „ersatz“. Coś w guście tandetnego i wszędzie znanego eksportu „Made in Germany“ — lecz sprzedany był z całą świadomością...

Na postać naszego „bohatera“ zaczynają nam się szerzej oczy otwierać, zaczynamy rozumieć jego nienawiść do Falka, który: „Przez rok okragły nie wypije pewnie i sześciu szklanek“ w jego hotelu, wiemy już dlaczego ostrzeżę ścisłym głosem swych klientów: „Ale radzę wam, panowie, nie zadawajcie się z nim broń Boże, jeśli tylko możecie“. — „Falk jest i był zawsze nędznikiem. Ja bym nim pogardzał“...

Nieszczęśliwy Falk! Falk - ludożerca!

Historii tego człowieka wysłuchamy z uczuciem szczerzej dla niego sympatii, jego niema miłość wzruszy nas głęboko, odetchniemy z ulgą gdy wreszcie po tylu perypetiach, połączy się najformalniej z wychowanicą kapitana Hermanna. Lecz Schomberg pozostanie nieprzejezdny. Lata całe upłyną, a on przy swoim groteskowym table d'hôte będzie się zwierzał stołownikom „o właścicieli holownika, niejakim Falku, który wygrał żonę w karty od kapitana angielskiego okrętu“. Cóż za drab przeklęty!

Biorąc do ręki „Zwycięstwo“ myślimy — czegoż jeszcze można się po tym Germaninie spodziewać? Czymże może nas jeszcze zadziwić?

Ale bądźmy spokojni: „Tutaj (w „Zwycięstwie“) ukazuje się w jeszcze większej roli, a także i z własnym swoim charakterem“ — zgodnej z prawdą życiową (mam nadzieję) — ten dobrze zbudowany, „wysoki, brodaty osobnik o męskiej postawie i teutońskich przekonaniach“, ten cesarski oficer rezerwy, za którego się podawał, hotelarz i diabelski wścibski w jednej osobie. A rola, w jakiej mamy go ujrzeć, odsłoni nam dno jego duszy germańskiej, ukaże nam go w jaskrawym świetle słońca podzwrotnikowego pasa nie tylko jako straszliwego plotkarza, ale i jako ustawicznie zięjącego jadem nienawiści gada, jako domowego tyrana, tchórza i złoczyńcę z potrzeby swego charakteru.

Gdy Schomberg ujrzy Morrisona w towarzystwie Heysta — szepnie do przygodnie zebranej kompanii w jego hotelu:

— „O, widzicie państwo pajaka i muchę?“

— „Jesteśmy tu w swoim kółku, więc powiem wam tylko to, moi panowie: unikajcie tego Szweda. Strzeżcie się jego side!“

Tak będzie mówił o Heyście, który Morrisona wyciągnął z ciężkiej kabały, pożyczył mu pieniędzy i uratował od zguby po zasekwestrowaniu statku; nazwie go „pajakiem“ wysysającym muchę, bo nienawiść jego jest silniejsza niż poczucie sprawiedliwości. Wystarczy przecież, że Heyst „nie odwiedził jego „zakładu“ nawet trzy razy. To była właśnie owa zbrodnia, za którą Schomberg życzył Heystowi — ni mniej ni więcej — tylko długiej i udręczonej egzystencji. Oto mamy teutoński zmysł proporcji i rozkoszne usposobienie nie pamiętające uraz“.

Ale do tego jesteśmy już przyzwyczajeni. Pamiętamy Falka i tymczasem pogardą tylko obdarzymy Schomberga, słuchając tych potwornych plotek. Heyst bowiem zdobył nas sobie wstępnym bojem! Jesteśmy mu oddani i ze szczerem niepokojem śledzimy bieg wypadków:

„Podzwrotnikowa Spółka Węglowa“ upadła. Kopalnię zamknięto, wyspę opuścili Kulisi i biali, a Heyst pozostał w samotności zupełnej. Został „pustelnikiem“ — według terminologii Schomberga, który z odległej Soubarayi jeszcze go darzył nienawiścią i plótł o nim bajki niestworzone.

Lecz dzień wielkiej przygody zbliżał się nieuchronnie. Heyst dla uregulowania jakichś spraw opuścił Samburan i przybył do Sourabai, zamieszkując, z braku pieniędzy i w nieświadomości, w gorszym hotelu — hotelu Schomberga! — jak by to było jego przeznaczeniem. Co gorsza, drogi powrotnej, na Samburan, nie odbył już sam. Towarzyszyła mu nieszczęśliwa dziewczyna z orkiestry Zangiacoma...

Para ta odnalazła się dla siebie, dla samotności, dla wspólnej doli i poznania pełni życia. Niestety — na dziewczynę ostrzył sobie zęby Schomberg, ba! — obiecywał, przydybawszy nieszczęsne stworzenie gdzieś w ciemnościach korytarza, że przepędzi, maltretowaną i wytresowaną do roli automatu, starą żonę do kraju, że rozpoczną nowe życie — taki mężczyzna, jak on i taka kobieta, jak ona...

Żądza jego rosła z dnia na dzień, a dziewczyna cierpiała. Cierpiała w orkiestrze, cierpiała od Zangiacomowej, od Schomberga. Cóż więc dziwnego, że przy nadarzającej się okazji zwierzyła Heystowi swe bóle i troski, że wrzuciła jego czule i dobre serce, a wreszcie, że uciekła z nim na samotną wyspę, by odetchnąć i stać się człowiekiem?

W sprawę zamieszany jest jednak Schomberg. Nienawiść jego do Heysta, po „porwaniu“ dziewczyny, przybiera formy niemal obłąkania. Pragnienie zemsty stanie się tak silne, że odbierze mu wszystkie spokojne chwile życia, ale, że jest tchórzem — ten wspaniały porucznik rezerwy — więc sam nie przedsięwzię nic w obawie o całość swej skóry. Skorzysta tylko z okazji, z przeklętej okazji, i podeśle na wyspę Heysta trzech łotrów, by go wykończyli:

— „Bez ryzyka — bez żadnego ryzyka!“

Znęci tych łotrów rzekomymi skarbami, które samotnik ukrywa, da im szczegółowe informacje, wskaże drogę i zachęci do zbrodni ohydny żartem, do którego użyje swego ojczystego języka:

— „A w końcu — w końcu zadziwicie den Herrn Baron — ha, ha!“

Zadziwicie... Tak, było i zadziwienie, lecz w pojedynku z łotrami Heyst stracił życie Leny i swoje, by teutońskiemu charakterowi Schomberga, hotelarzowi i oficerowi rezerwy, nie zbrakło uczty najśrodszej: krwawej zemsty.

**PRZEDSIĘBIORSTWO
ROBÓT BUDOWLANYCH**

»FILAR«

**EDMUND PIOTROWSKI
BUDOWNICZY**

WARSZAWA, ELSUSKA Nr 4
TEL. 10-02-70.

*) „Falk“ — (przyp. mój).

Dr Jan Żabiński

Wiosenny przychówek w ZOO

Nowoczesny Ogród Zoologiczny nie jest instytucją rozrywkową — a nawet względy wystawowe, są zaledwie jednym z ubocznych efektów kulturalnych, jakie wynikają z jego istnienia. Głównym celem, niejako zrebem, na którym opiera się racjonalność istnienia są jego wyniki hodowlane, a dopiero wywiązanie się z tego właśnie zadania daje możliwość spełnienia wszelkich wymagań pochodnych, jakie mogą Ogrodowi być stawiane.



Lykaony.

Najważniejsze z nich są następujące:

- 1) dostarczanie materiału do badań biologicznych;
- 2) zapoznanie starszej i młodszej publiczności z fauną kuli ziemskiej, nie tylko w dziedzinie ogólnego wyglądu zwierzęcia, ale i z jego zwyczajami i sposobem życia, a wreszcie:
- 3) dostarczanie kulturalnej rozrywki w sensie odprężenia nerwowego, jakie zawsze następuje przy przejściu z pełnego zgiełku i tempa życia nowoczesnego w tak odrębną dziedzinę obcowania ze zwierzętami.

Nic więc dziwnego, że kierownictwo każdego ZOO przede wszystkim stara się, dba i za swój główny sukces uważa wszelkie zdobycze na terenie hodowlanym, a więc przychówek i wychów narodzonych zwierząt.

Obecnie tylko na tym polu istnieje między Ogradami szlachetna rywalizacja, gdyż na plan dalszy zeszły już dawne kryteria wyceniania wartości ZOO, polegające na ilości i jakości okazów, jakie w danym sezonie przedstawiono oczom publiczności. Dziś dla fachowców przede wszystkim wysuwa się zagadnienie, jakie gatunki z dotychczas nie rozmnażających się — zostały urodzone w danym ZOO, bądź też jak długo poszczególne okazy były w nim hodowane.

Warszawski Ogród Zoologiczny zbyt jest młody, aby mógł pod tym drugim względem stawiać do zawodów ze 100-tu letnimi pobratymcami, gdyż istniejąc sam zaledwie lat jeden



Niedźwiadek

dziesiątek — nie może wskazać na 40-letniego pensjonariusza-hipopotama, o którym z dumą obwieszcza ZOO Frankfurckie — bądź na 30-ci lat hodowanego słonia, czym szczyci się Berlin, względnie 50-letniego nosorożca z londyńskiego Regent's Parku, na którego skórze zwiedzający starają się wydrapać swe nazwiska, a przy najmniej inicjały.

Natomiast w dziedzinie przychówków — stanął Warszawski Ogród Zoologiczny odrazu mocną stopą wśród innych instytucji tego rodzaju, mając już na swym koncie rekordy światowe, jak np. poraż pierwszy w dziejach Ogradów Zoologicznych rozmnożenie lykaonów, a dalej: uzyskanie przychówku u słoni, rozmnożenie antylop błotnych, kun, skrzyżowanie kwaggi Chapmanna z zebrawą górską, rozmnożenie konia Przewalskiego itp.

Pod względem ilościowym na pierwszy plan wysuwa się: 69 urodzonych lwów (z których dwa ostatnie przyszły na świat w czasie pisania niniejszego artykułu), około 50 australijskich psów Dingo, 5 zebra, 4 wielbłądy — mniej więcej 20 różnych gatunków małp itd.

Nie sztuką bowiem jest przy dużych zasobach kapitału zakupić, bądź, jak to praktykują niektóre Ogrody (wydzierżawić na sezon i demonstrować publiczności rzadsze okazy. Natomiast efekt hodowlany pieniędzy osiągnąć się nie da, a jest rezultatem wiedzy, przede wszystkim zaś daru wyczuwania istotnych potrzeb



Wielbłądek.

zwierzęcia i umiejętnego ich zaspokojenia. Zahamowanie bowiem funkcji rozrodczych jest najczulszym wskaźnikiem, że jednak coś w traktowaniu danego zwierzęcia szwankuje.

Jakie znaczenie naukowe, wychowawcze oraz gospodarcze może mieć poznanie warunków hodowli zwierząt dzikich, omówię kiedyś w odrębnym artykule. Obecnie zaś, zgodnie z tytułem pragnę podać do wiadomości publicznej rezultaty tegorocznych wiosennych przychówków naszego ZOO, albowiem zarówno na jesieni, jak i w zimie — panuje pod tym względem zastój, a Nowy Rok dopiero zapoczątkowuje sezon narodzin, którego punkt kulminacyjny przypada na maj i czerwiec.

Pierwsze, które zaliczam już od roku bieżącego, aczkolwiek przyszły na świat akurat w wieczór Sylwestrowy, były lykaony. Narodzin tych nie oczekiwano z tak bijącym sercem jak w r. ub., kiedy był to (jak wspominałem) w ogóle pierwszy przypadek przyjścia na świat tych zwierząt — w niewoli. Powtórny miot okazał się dużo mniej szczęśliwy, gdyż matka z niezrozumiałych względów nie udzielała maleństwu dostatecznej opieki, tak, że w ciągu tygodnia padły dwa szczeniata, a ostatni w bardzo złym stanie zostało zabrane z gniazda celem zastosowania zresztą zawodnego wychowu sztucznego.

Ponieważ próby wykarmienia zwierząt drapieżnych na smoczku — udają się tylko w zupełnie wyjątkowych przypadkach — do karmienia maleństwa użyto sukiej-mamki. Mimo jednak pokrewieństwa systematycznego lykaonów z psami dała się zaobserwować wyjątkowa niechęć opiekunki do małego. Musieliśmy aż trzykrotnie zmieniać mamki, zanim nareszcie natrafiono na sukę tak posłuszną, że — co-prawda dopiero po kilkakrotnym skarceniu zgodziła się jednak przynajmniej nie przeszkadzać w ssaniu podrzutkowi. Natomiast nie udało się jej namówić do żadnych zabiegów opiekuńczych w postaci lizania lub masowania małego, co siłą rzeczy zwiększyło ilość czyn-

nów z psami dała się zaobserwować wyjątkowa niechęć opiekunki do małego. Musieliśmy aż trzykrotnie zmieniać mamki, zanim nareszcie natrafiono na sukę tak posłuszną, że — co-prawda dopiero po kilkakrotnym skarceniu zgodziła się jednak przynajmniej nie przeszkadzać w ssaniu podrzutkowi. Natomiast nie udało się jej namówić do żadnych zabiegów opiekuńczych w postaci lizania lub masowania małego, co siłą rzeczy zwiększyło ilość czyn-



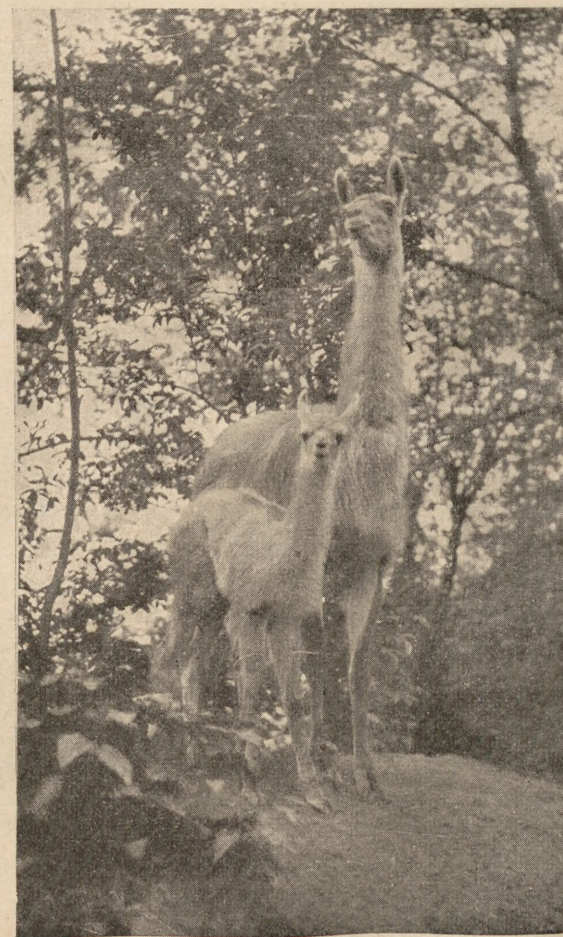
Mały lykaon.

ności, które przy lykaonku musiał przeprowadzać opiekun ludzki.

Mimo tych trudności — malec rozwijał się normalnie, na co wskazywała codzienna kontrola wagowa. Przy tej sposobności udało się przeprowadzić bardzo ciekawe badania naukowe w postaci chemicznych analiz moczu, dokonanych przez Laboratorium Chemii Fizjologicznej przy Państwowym Instytucie Higieny.

Mały lyakon waży obecnie około 15 kg i znajduje się już od dawna na własnym wikcie. Nie jest jednak jeszcze złączony ze starymi, albowiem dyrekcja ZOO pragnie przeprowadzić próbę możliwości oswojenia tego zwierzęcia, które w afrykańskiej ojczyźnie nosi dla swej dzikości obrazowe miano „diabła stepowego“.

Około 15 stycznia b. r. — ze zwykłą punktualnością (gdyż wahania pod tym względem nie przekraczały nigdy 3 tygodni) — odbyła poród po raz szósty w naszym ZOO — niedźwiedzica „Maksia“. Narodziny niedźwiedzi są o tyle emocjonujące, że odbywają się w ciemnym barłogu i przez miesiąc co najmniej o istnieniu młodych — świadczą tylko ich piski. Do środka zajrzeć nie można, zresztą było by to wysoce niepożądane, gdyż denerwuje to matkę i może wywołać przeziębienie maleństw wielkości niedużego szczura, rodzących się w



Mała Guanako z matką.

stanie niemal nagim. To też dopiero w czasie ciepłych dni kwietniowych — ujrzelśmy niedźwiedzię, gdy „Maksia“ wyszła na spacer, do klatki zewnętrznej, z trójką swych maleństw. Na początku maja — matka została odłączona od dzieci, które, jako 4-miesięczne niedźwiedki, mogą się już samodzielnie odżywiać, zaś sąsiedztwo ich ogromnego, a całkowicie pozbawionego uczuć rodzicielskich ojca „Wojtka“ — stanowiło dla nich poważne niebezpieczeństwo wobec łatwości w przeciskaniu się między kratami i dziecinnej nieopatrności.

W marcu przysła na świat jako drugi egzemplarz od tej samej pary młoda antylopa błotna, zw. Sittatunga. Jest to zwierzę rzadkie w Ogrodach Zoologicznych, rzadko też w nich się rodzące. Gatunek ten, mimo iż pochodzi z tropikalnej Afryki, jak wykazały doświadczenia naszego ZOO, znosi stosunkowo dobrze chłody. Dla widza ciekawą rzeczą u tych zwierząt — jest wielka różnica między samcem i samicą i to zarówno w wielkości, jak i barwie oraz posiadaniu rogów.

Sukcesy hodowlane nie obywają się i — bez przykrości. Dostarczyła ich nam wielbłądzica „Chana“, dotychczas już trzykrotnie wychowująca młode wielbłądźnię. Zaledwie w parę dni po Sittatundzie — urodziła młodego ogierka, którego bez żadnych obaw pozostawiono przy niej, znając jej matczyną troskliwość i zabiegliwość. Mały rozwijał się bardzo dobrze do 3 tygodni, niestety jednak, widocznie wsku-

tek niezręcznego stąpienia matki, został przez nią tak silnie uderzony w głowę, że wylew krwi do mózgu wywołał śmierć natychmiastową.

Pewną rekompensatą dla Warszawskiego ZOO było urodzenie po raz pierwszy na jego terenie młodego guanako. To prześliznę zwierzę z rodziny lam, zamieszkuje góry Połudn. Ameryki i odznacza się wyjątkową harmonijnością kształtów i estetyką ruchów. Mimo pewnych perypetii, jakie małe przeszło z ojcem, który zbyt agresywnie chciał przeprowadzić igraszki z dwutygodniową córeczką mała samiczka guanako chowa się zupełnie dobrze.

Jeśli poprzez rodzinę lam, które nie są jeszcze klasycznymi przeżuwaczami, przejdziemy znów do właściwych parzystokopytnych — przeżuwających, to na tym terenie poza wspomnianą Sittatungą — wymienimy narodziny małej bizoniczki. Przychówek ten, adzwolwiek nie dorównywa w rzadkości zoologicznej poprzednim, jest o tyle przyjemny, iż dotyczy gatunku, który wskutek poprostu wandalskich rzezi, prowadzonych w 8-mym dziesiątku ub. stulecia w Ameryce Północnej, w przeciągu zaledwie kilku lat — stopniał z 5-ciu milionów sztuk do jedynie kilkuset osobników, a następnie do końca XIX w. uważany był za skazany na całkowitą zagładę.

Dopiero w bież. stuleciu, dzięki bardzo starannej opiece — zdołano odrestaurować go o tyle, że stada bizonów liczą dziś około 10 tysięcy zwierząt, a co zatym idzie — obawy całkowitego wyginięcia okazały się ponne. Daje to asumpt do stawiania pomyślnych horoskopów dla bliskiego krewniaka bizonów — żubra, który z okresu wielkiej wojny wyszedł w znacznie jeszcze gorszych warunkach, aniżeli w swoim czasie bizon, gdyż stwierdzono istnienie zaledwie 48 sztuk żyjących. I ten gatunek jednak zaczął odradzać się powoli, a w utrzymaniu go i rozmnażaniu Polska bierze obecnie najwydatniejszy udział.

Materialne zasoby ZOO wybitnie wspomogły znaczny w tym roku przyrost młodzieży u srebrnych lisów, gdyż trzy posiadane przez nas

samece oraz dwie krzyżówki urodziły conajmniej 17 sztuk młodzieży. Pewnej liczby podać jeszcze nie można i tu bowiem, jak u niedźwiedzi nie wolno zbyt wcześnie zaglądać do gniazda i niepokoić matek, które mogą łatwo całkowicie zaniechać wychowu małych. To też, jak dotąd, wiadomości posiadamy tylko o tych liskach, które zaobserwowano podczas „plażowania“ w ciepłych promieniach słońca.

Rzadkością zoologiczną, choć niezbyt cenną materialnie — są urodzone po raz pierwszy w naszym ZOO kuny kamionki, a stan zwierząt futerkowych zwiększyły ponadto szopy-prace, których ilości jeszcze nie ustalono.

Ubytek w stadku jeżozwierzy — wywołany wysłaniem paru tych zwierząt do Kowna — został już częściowo wyrównany przez narodziny jednego małego, który mimo, iż jest zaledwie wielkości pięści — przyszedł na świat z kolcami i niemal natychmiast po urodzeniu stosz je, gdy tylko dozorca próbuje wziąć je do rąk.

Zamykają na dzień dzisiejszy ilość przychówku dotychczasowego 3 dziczki oraz osiołek, który przybył na świat przed kilkoma dniami.

Artykuł niniejszy siłą rzeczy nie może mieć zakończenia, w tych dniach bowiem spodziewamy się urodzin antylopy Nilgai, antylopy gary oraz gnu, nie mówiąc już o odleglejszych nadziejach oraz nieoczekiwanych niespodziankach, na które w tej dziedzinie — zawsze trzeba być przygotowanym.



Młode dziki.



Bizonica z małym.

Kultura normy — Golone fasady

W żadnym mieście europejskim nie odnawia się tak często fasad domów jak w Warszawie. Dzieje się to skutkiem marnych tynków bylejakiego malowania. Tynki warszawskie mają tę właściwość, że „leca“ po kilku latach, wymagają więc zbijania i nowego tynkowania co jakiś czas. W Krakowie, a zwłaszcza w Poznaniu tynki trzymają się znacznie lepiej z tej prostej przyczyny, że są starannie wykonane.

Istnieją miasta szczęśliwe, jak np. Paryż, gdzie tynk jest niemal niespotykany, wobec powszechnego używania kamienia. W Holandii, z braku kamienia, licują domy pięknie wypaloną cegłą. W Italii, południowej Francji i Hiszpanii tynki używane są wyłącznie przy pokrywaniu gładkich płaszczyzn, wszelkie natomiast gzymsowania, ławy okienne, a zwłaszcza kolumny, pilastry, tympanony, cokóły, konsole itp. wykonuje się wyłącznie z kamienia. Wiadomo, że nawet słabsza architektura nabiera w kamieniu wyrazu i szlachetności. Zresztą tynki w miastach śródziemnomorskich, z racji znakomitego wykonania i właściwości klimatycznych, są nieraz tak trwałe jak kamień.

Już przed wielką wojną zaczęto używać w Warszawie tynków trwalszych, tzw. półcementowych, na wpnie hydraulicznym lub terazytowych, co przyczyniło się do znacznego poprawienia wyglądu domów. Lecz tynk nawet najlepszy, ma jedną przyrodzoną wadę. W przeciwieństwie do kamienia i cegły nie patynuje, lecz brudzi się, co znów powoduje konieczność częstego malowania, zwłaszcza w naszym klimacie. Dom świeżo malowany, robi wrażenie umoczonego w kubie z farbą, która zakleja i niweluje optycznie wszelkie detale architektoniczne. Im lżejsza architektura, tym gorzej wy-

gląda po takim „usmarowaniu na czysto“. Z malowaniem fasad nie należy przesadzać. Póki tynk się trzyma i nie wykazuje przykrych zacieków i plam, malowanie jest zbyteczne i efekt wątpliwy, gdyż przypomina szminkę na twarzy starej damy.

Warszawskie domy czynszowe z ostatnich dwu lub trzech dziesiątków lat wieku ubiegłego nie odznaczają się wprawdzie szlachetną architekturą, jednak w zespole, w szeregu nie są pozbawione wyrazu i rytmu. Operowano wówczas eklektycznym stosowaniem renesansowych elementów według albumowych wzorów, lecz trzymano się gabarytu. Zabudowywane wówczas ulice Czackiego, Hoża, Wspólna, Żurawia etc. miały domy trzypiętrowe o jednakowej wysokości, podobnej rytmice otworów i pokrewnych detalach architektonicznych dzięki czemu tworzyły dość harmonijne zespoły, pomimo dominującego banału. Zespoły te popsuto i rozerwano później, budując wyższe i bardziej pretensjonalne domy w rzędzie starszych szlachetniejszych. Domom tym grozi obecnie nagminnie panująca moda golenia fasad. Przy sposobności odnawiania domu, właściciel lub przedsiębiorca próbuje zmodernizować elewację w barbarzyński sposób, obtlukując bez zastanowienia wszystkie gzymsy, pilastry, ławy, wsporniki itp. w naiwnym mniemaniu, że tą drogą dom odmłodzi i unowocześni. Rezultatem takich zabiegów jest szpecenie miasta, które zamiast domu o możliwej lub nieszkodliwej architekturze, znamionującej bądź co bądź epokę, otrzymuje obdartą ze skóry kamienicę, o głupim wyrazie człowieka wypuszczonego na ulicę w bieliznie. Są istotnie domy, które bez szkody a raczej z pożytkiem

mogłyby pozbyć się naklejonych sztukaterii, lecz zbijanie gzymsów i ram okiennych zmienia proporcje otworów i płaszczyzn, zohydżając do reszty i tak już nieświetną architekturę. Głównym motywem takiego golenia elewacji, jest nietylę chęć unowocześnienia domu, ile chęć pozbycia się ambarasowych, a przy złym utrzymaniu, grożących wypadkiem gzymsów. Zabiegi tego rodzaju powinny być przez władze zabronione na podstawie art. 378, 379, 380, a zwłaszcza art. 338 prawa budowlanego i zabudowaniu osiedli, który to artykuł mówi, że „właściwa władza może zakazać dokonywania wszelkich zmian w zewnętrznym wyglądzie budynku, ich części lub otoczenia“.

A. L.

POLSKIE ZAKŁADY IMPREGNACYJNE S. A.

W WARSZAWIE. UL. MOKOTOWSKA 46.
TEL.: 9-36-11, 9-51-59, 9-69-78, 9-23-89.

DOSTARCZAJĄ: słupy sosnowe i maszły impregnowane olejem smołowcowym systemem Rüpinga, podkłady sosnowe impregnowane, kosikę drewnianą impregnowaną do brukowania ulic, mostów i hal fabrycznych.

NASYCENIE: Dziedzię, Zadwórze, Mińsk Maz., Mołodeczno i Lipa (C. O. P.).

Przedsiębiorstwo Instalacyjne A. MICHAŁSKI

Warszawa, ul. Górczewska 24. Tel. 68128.

Kanalizacja wodociągów.
Centralne ogrzewania.

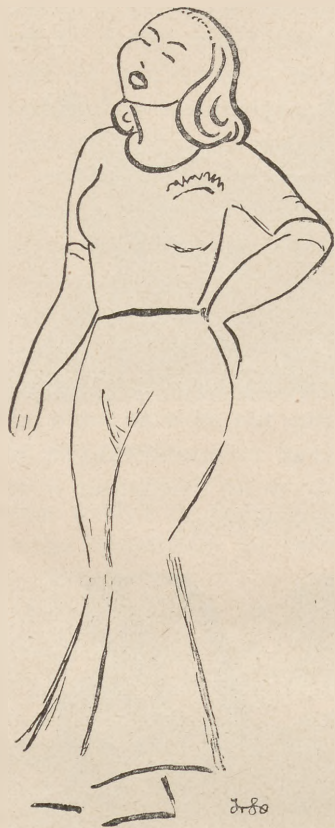
Irena Schultz

Życie zaczyna się ... „petitem”*)

Z RYSUNKAMI AUTORKI

Życie zaczyna się petitem. Ogłoszenia. Gdzie jak nie w nich właśnie można je zbierać garściami. Z milionów kropel ogłoszeń, wypadków tworzą się fale wydarzeń i zalewają tłustymi czcionkami pierwsze strony dzienników.

Ogłoszenia. Wczujmy się w nie. A dosłyszemy miarowy rytm codzienności. Jest w nich, wszystko. Śmiech, płacz, beziła, nadzieja. Życie.



Pani Czubek „śpiewa”.

Miłującym ciszę odnajmę pokój, elegancko umeblowany. Piusa XI 128, m. 54.

Przeraźliwy sopran wyje przez cały dzień. Gamy, solfedzia. To właścicielka mieszkania. Betkowska z domu — z męża — Czubek. Naturalnie, że mezalians. Mała, krepa, energiczna. W rzadkich od „śpiewu” chwilach teroryzuje męża, dzieci i lokatorów.

Do-re-mi — rozlega się przejmująco a piskliwie. W salonie odbywa się popis. Pani Czubek wyłowiła właśnie z ciemni korytarza, przemykającą do łazienki nową sublokatorkę i olśniewa ją głosem i wymową.

— Słyszysz pani — do-re-mi. To rzadkość! Ja mam dobrą górę, dobry dół i — dobry środek!

— Przepraszam cię, Helciu, — w szparę drzwi nieśmiało wsuwa głowę mąż. — Czybyś nie była łaskawa na jedną chwilę przerwać śpiew. Mam zamiejskowy telefon i nic nie słysząc.

— Teraz widzą wszyscy, jak mnie ten człowiek maltretuje — pani Czubek rzuca się niczem rozsłalała pantera. — Boże! Żeby mój mąż nie był takim chamem jak jest — już bym dawno na scenach grała.

Sublokatorka przezornie wymyka się z pokoju. Jeszcze słyszy trzask rzuconego przedmiotu (zdaje się krzesło). Pada kilka wyszukanych czułości w rodzaju: — ty, zakuta mordo, idź stąd, kretynie jeden.

Ale w chwilę po tym tryumfujące: — Do-re-mi...

Samotna, odnajmę pół pokoju przyzwoitej panience. Tamże cerowanie. Pańska 188, m. 7.

— Co tam, dzisiaj to ja jestem, jak ta hrabina-zebraczka — żali się wdowa.

— Tak, to przykre — mówi bez przekonania przyzwolta panienka o mocno wymalowanej twarzy.

Ale wdowa za wszelką cenę usiłuje ją przekonać o dawnych splendorach rodu Piotrowskich.

Petit — rodzaj czcionek ogłoszeniowych.

— Niech ja trupem padnę jak przed wojną funta serdelków nie kupowałam na kolację. — Rzuca, wymachując przed twarzą oszołomionej dziewczyny, niedocerowaną pończochą.

Studentka matematyki udziela lekcji. 50 gr godzina. Tel. 22-34-74.

Dopiero Filtrowa. Jeszcze dobre 15 minut drogi — a już nie ma jakoś siły. Bolą plecy, oczy. Może dlatego, że dziś siedziała do 3-ej. Stoliczek malutki. Nie ma gdzie książek rozłożyć. Łokcie trzymaj w powietrzu. Świeca w szklance się chybcze. Bo gospodyni nie pozwala palić elektryczności po 11-ej. Przez te świece z żelówkami musi poczekać. A najgorsze jak się tak pływa we własnych butach. Ogromnie przygnębia. Najbardziej martwi list od brata. Pisz, że tylko na nią liczy. Że jedna ona może mu pomóc. Ona... Idzie teraz i układa w myśli jakby tu jeszcze trochę grosza dokombinować. Może znaleźć nową korkę. Nie. Już i tak od miesiąca do biblioteki nie zajrzała. Tak, jest tylko jedna rada. Trzeba będzie coś jeszcze skreślić z budżetu. Śniadania? Zawsze jakieś 5 złotych będzie. Ale co to dla niego. Bo kolacji już dawno nie jada. Od czasu jak ma lekcje u Marchockich. Na obiad dużo dają jeść. Ten obiad to właściwie dodatek do lekcji. Marchoccy nieźli ludzie. Ale nuworysze. Np. wczoraj: Były szparagi. Anna nigdy ich nie lubiła. Więc podziękowała. A Marchocka nie ustąpiła. Pani pewnie tego nigdy nie jadła — to bardzo dobre — proszę! i napakowała jej całą furę na talerz. Jadła przez grzeczność i łzy. Jednak jak mało jest ludzi, którzy potrafią dać w sposób — wykluczający przykrość otrzymywania. Stroskana myśli znów biegnie do brata.



... Najgorszy ten deszcz...

Młode małżeństwo. Uwaga. Łóżko, szafa. Wileńska 160, m. 76.

Łóżko. Ciemne drzewo. Secesyjna galeryjka. Niezachęcające. Szafa dwudrzwiowa.

Małżeństwo jest wyraźnie zastraszone już samym wyglądem właścicielki rzeczy. Wysoka, tęga, imponująca.

— Myśmy o szafę — odważa się małżonek.

— Gadulka jestem — przedstawia się olbrzymka.

Jej półgodzinna przemowa, zmierzająca do uwydatnienia walorów szafy świadczy, że brzmienie nazwiska nie jest dziełem przypadku.

Małżeństwo pokornie, bez targu kupując szafę, przepłacając co najmniej 50%.

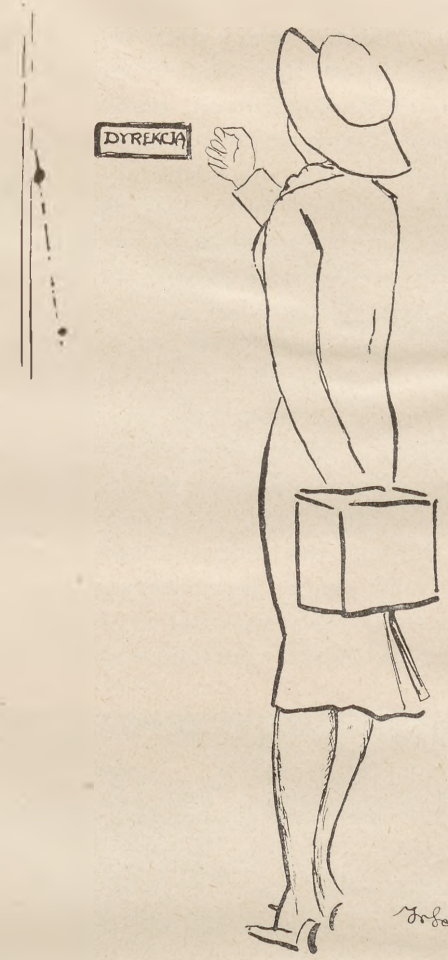
Potrzebna lektorka na godzinę. Jagiellońska 174, lewa oficyna.

Przez wąski korytarz do małych ciemnych drzwi doprowadza napotkany na podwórku młodzieniec lat 10-ciu w wytartych spodniach z obręczą drucianą w ręce.

Stukanie. Słysząc „proszę”, wymówione niskim, męskim głosem. Cichutki skrzyp drzwi. W progu oficer w mundurze. Patrzy badawczo.

— Jestem z ogłoszenia.

— A proszę — i wyciągnięta ręka, omijając przybyłą, posuwa się w stronę klamki. Ale



Akwizytorka.

kobieta już się zorientowała i szybko podaje swoją. Niewidomy.

O swoim kalektwie mówi krótko, rzeczowo. Normalna rzecz. Wojna. Gazy. Ale teraz chciałby kończyć przerwane studia. Osoba, na którą liczyłem, usunęła się — po twarzy przemyka cię — a pani rozumie, ktoś musi mnie czytać. Renta skromna, więc dużo płacić nie będę mógł.

Kobieta się zamyśla.

Jest bez pracy. Ale jednocześnie wzrasta problem: pieniądze za jego oczy. Ale jeśli nie ja, to kto inny. Zostanie. Będzie unikać słów takich jak: widzę, światło, ciemno.

Rozpoczyna się czytanie. Padają zawile formuły. Mija godzina. Zmierzcha się. Litera zlewają się zupełnie. Już, już chce się odezwać, że czytać za ciemno, ale jak jemu o tym powie. Czyta. Okna coraz bardziej wypełnia noc.

— Tu powinno być inaczej — naraz pada.

— A tak — odpowiada niepewnym głosem kobieta.

— Może pani już za ciemno czytać? — pyta oficer i nie czekając na odpowiedź wstaje. Idzie do etażerki. Ostrożnie bierze lampę. Wraca. Kobieta odbiera lampę z jego rąk i stawia na stole. Pani ma ręce dobrego człowieka, stwierdza jakby mówił sam do siebie. Wyjmuje zapalki z kieszeni. Zdejmuje klosz. Zapala. Światło pada łagodnie poprzez seledynowy klosz. Robi się rodzinie, zacisznie. I staroświecko.

Panie energiczne, wymowne z dobrą prezencją zgłoszą się pod adres: Marszałkowska 192, m. 4.

Akwizytorka. Jest to przeważnie, zganiane i zziąjane stworzenie. Zdarza się jednak czasem i inaczej.

Ktoś już poraz drugi stuka. Dyrektor niecierpliwi się. Gdzież ta Wanda (sekretarka) znów polazła. Drzwi uchyliły się. Widać duży kapelusz. Już szykuje się dyrektor do urzędowego tonu. Kiedy nagle spod kapelusza wykwita piękna uśmiechnięta twarzyczka. Przyjemnie zdziwiony mówi: „Proszę”. Ale zjawisko jest nie tylko urocze ale i — sprytne. To też dyskontuje natychmiast wrażenie jakie wy-

warła. W niespełna 10 minut sprzedaje więcej niż nieraz przez cały dzień. Może jeszcze ten? Dyrektor nie poddaje się. „Niebieski krawat dla mnie?” „Ależ naturalnie tylko dla pana”. Przykłada krawat do ubrania. Przylgnie się uśmiecha. Który mężczyzna nie uwierzy ładnej kobiecie. Czyż gwałtowny kaszel budzi dyrektora. To sekretarka. Akta, książki w ręce. W pokoju robi się „urzędowo”. Zjawisko znika.

Akuszerka dypl. udziela porad. Niezamożnym ustępstwo. Nowogrodzka 99, m. 4.

Meble „salonowe” kryte czerwonym pluszem. Taką serwetą w żółte kwiaty okrywa stół. Leżą na nim rozrzucone w nieładzie mocno sfatygowane tygodniki. Jakies „Bluszcze”,



...Włódekowi nie powie...

„Kina”. Ręka sięga na pamięć po jeden z nich. Kobieta z ładną dziewczynką na kolanach uśmiecha się z okładki. Ręka trzymająca tygodnik drży — głowa pochyla się niżej. Więc i jej może być takie. Nie. Jej będzie chłopcem. Bo przecież musi być podobne do niego. A może to tylko złudzenie. Zresztą zaraz się dowie. Boże! Jakie to byłoby szczęście. Mieć jego dziecko.

Dzwonek. Wchodzi do pokoju ciężko, niezgrabnie młoda dziewczyna. Siada ostrożnie na brzeжку stołka. Ładna. Zdrowa cera. Duże ręce nerwowo otwierają i zamykają tandetną lakierowaną czarną torebkę. Jest jakby strwożona. Krystynie robi się żal dziewczyny. Pewno jakaś uwiedziona. Miłość á la minute. Szablona pułapka natury. A ona? Czy nie to samo? Nie. Przecież kiedy go zobaczyła po raz pierwszy, wiedziała od razu, że nigdy nie będzie, nie może być jego życiem. Może tylko malutkim, nieznacznym fragmentem.

Zaraz jej tu powiedzą. W każdym razie Włodek o tym nie będzie wiedział. Nigdy. On musi mieć spokój. Tyle pracy. Trosk. Zresztą on ma żonę. Czy tylko żonę? Krystyna podświadomie wyczuwa obecność jeszcze innej jakiejś kobiety. Cóż z tego, że się poirafraci określić cechy duchowe i fizyczne człowieka. Różne są metody badań psychologicznych. Pamięć Krystyny nasuwa najrozmaitsze testy, znajome dobrze przyrządy. Esteziometri, eugografy, kymografiony. I cóż z tego? Kiedy jeszcze ciągle serce jednego człowieka dla drugiego pozostaje tajemnicą. I Włodek nigdy się nie dowie, jak jest kochany.

Wróżka z ręki. Kart. Wronia 107, m. 8.

— Panie trochę poczekają — tylko ziółka sobie zaparzę. Marny los z tą wątroba!

W pokoju zaduch. Przy oknie solidne „rodzinne” łóżko. Stosem poduszek nieledwie dotyka sufitu. Dużo świętych obrazów. Na komodzie gipsowa figura św. Antoniego. W oknie prymulki i wielki pusty kosz po kwiatach z wygiętym wdzięcznie pałakiem.

— Panie uważają na ten koszyk? To od córki dozorcego. Ona za baletnicę w operze tańczy i od jakiegoś tam swojego dostała. Wyczekałam aż kwiaty zwiędli i wzięłam. Zupełnie jeszcze dobrze się prezentuje.

Nalewa ziółka do kubka. Siada.

— Której z panów najpierw?

— Proszę przełożyć.

Trudne zadanie, bo tłuszczy aż kapie z kart.

— Płaci się z góry.

— Pani przecież jeszcze nie powróżyła? Zresztą proszę.

— Ja tam, moja pani, wolę wszystko naprzód. Nauczona jestem. W zeszłym tygodniu była tu też jedna. Z godzinę mnie mordowała. A jak do płacenia przyszło — po pieniądze powiada do domu polecę. Uważa pani tu się jakakśi podróż szykuje. To ja mówię po pieniądzu panna pójdziesz, ale nasamprzód zastaw mi dasz. A ona się śmieje. Majtków mi chyba pani nie zabierze? Patrzą. Bluzka to ci jak sito. Spódniczka kusa, cała wycerowana. Patrzą dalej. Majtki czysto-jedwabne. Ściągają. Powiadam, panna. I co — jak poszła to się nie pokazała. A majtki wiszą, proszę. Rzeczywiście. Fruwają na sznurku różowe. Seryjne. Tanie. Zdaje się proszę panów, że to była z „takich” — dodaje. — Towarzystwo się dla paniuchny szykuje. Ale takie jak się należy z piciem owszem. I brenet pani sprzyjać będzie jak nic.

Znam języki obce. 1/2 dypl. prawa. Stenografia. Zgłoszenia pod 13.

Nareszcie jakaś ludzka oferta. Andrzej się ucieszy. A już 3-ci miesiąc daje ogłoszenia. Proponowano jej coprawda już posadę. Materialnie dobra. Ale pobyła tylko tydzień. Bo

okazało się, że sekretarka musiała być bardzo osobista. Nie mogła tam pozostać. Kocha Andrzeja. Żyją ze sobą 13 lat. Chwilowo jest im ciężko trochę, bo Andrzej, jak to on, za dobry, żyrował weksle dla kolegi. I teraz musi za niego płacić. Andrzej jest inżynierem. Pracuje w prywatnym przedsiębiorstwie. Dzieci nie mają. Irena uśmiecha się. Właściwie ona ma dziecko Andrzeja. Duże, mądre, piękne. Spogląda na fotografię męża. Jest od niej dużo starszy. Andrzej włosy ma srebrzyste i — pachnące. Cu-downie się w nich zasypia.

Już okurzyła książki, obrazy w jego pokoju. Właściwie to wszystko mogłaby zrobić dziewczyna. Ale Irena nie lubi, kiedy obcy dotykają rzeczy, które należą do Andrzeja. Przy tym, np. składając wieczorem jego ubranie od razu widzi, czy wszystko jest w porządku.



...Brenet paniusi sprzyjać będzie jak nic...

Wkłada teraz kwiaty do wazonu. Złotobrunatne nasturcje. Stawia je na stole przylegającym do biurka. Nigdy na biurku. Tam leżą tylko papiery, plany.

Siada. Jest trochę zmęczona. Spogląda na zegarek. Podchodzi do okna. Za chwilę zobaczy go. Idzie. Wysoki, piękny, spokojny. Jak mu dobrze w tym granatowym garniturze przy białych włosach. Przechodzą lata, a nic nie zmniejszyła się słodycz czekania na niego. Irena wie dlaczego. Bo miłość jest jedna — nie ma wieku — i nie zna lat.

Wdowa z poważnym kapitałem i złotym sercem przysparza młodego człowieka. Uzupełni własnym kosztem jego wykształcenie. Małżeństwo niewykluczone. Zgłoszenie „do lat 25”. — — —

W. Harasymowicz

Warszawa czyta gazety

Około ćwierć miliona gazet kupuje codziennie Warszawa.

Czy to dużo? Raczej mało. Naszym nakładom pism daleko jeszcze do współzawodnictwa z milionową produkcją gazet zagranicznych.

Wykresy statystyczne informują jednak, że idziemy naprzód w rozwoju czytelnictwa i to krokiem żwawym.

Coraz ściślej wiążemy się z gazetą — czytając, informując i doradczym.

Wabi nas ku sobie i pociąga, a ten związek z każdym dniem, trwalszy i serdecniejszy, mamy w dużym stopniu do zawdzięczenia... gazetciarzowi warszawskiemu.

Przed kilku laty ukazało się zarządzenie porządkowe władz administracyjnych, które chciało ująć w karby i „zgleichschaltować” kolporterów stołecznych. Policjanci bacznie prze-

strzegali, aby hałasu wielkiego miasta nie powiększały jeszcze wykrzykiwane tytuły gazet.

Trwało to jakiś czas. Obywatel stolicy, który z uczuciem głębokiego zadowolenia powitał np. zakaz używania sygnałów samochodowych — czuł się nieswojo bez gazetowego dopingu.

Najpierw oglądał się za gazetciarzem, chciał wyłowić zachętę do kupna gazety — ale nie doczekawszy się — stłumił w sobie bunt (taki mały buncik przeciwko przepisom porządkowym) i szedł do domu — bez gazety.

Znosiła zły humor „pana domu” jego małżonka — piekło miała służąca — że „w tym domu nawet gazety doprosić się nie można” — a chłopak z gazetami stał z głową zasnuwaną, gdzieś w zakamarku bramy i serce płakało mu

z rozpaczy — że oto jego właśnie, ścigać musi zawziętość „pana władzy”.

Być może, że w innym mieście, o innym temperamencie, o innym nastroju ulicy, reforma taka udałaby się napewno — ale Warszawa jest zbyt leniwa, aby wędrować do kiosku, wybierać gazetę — bez zachęty.

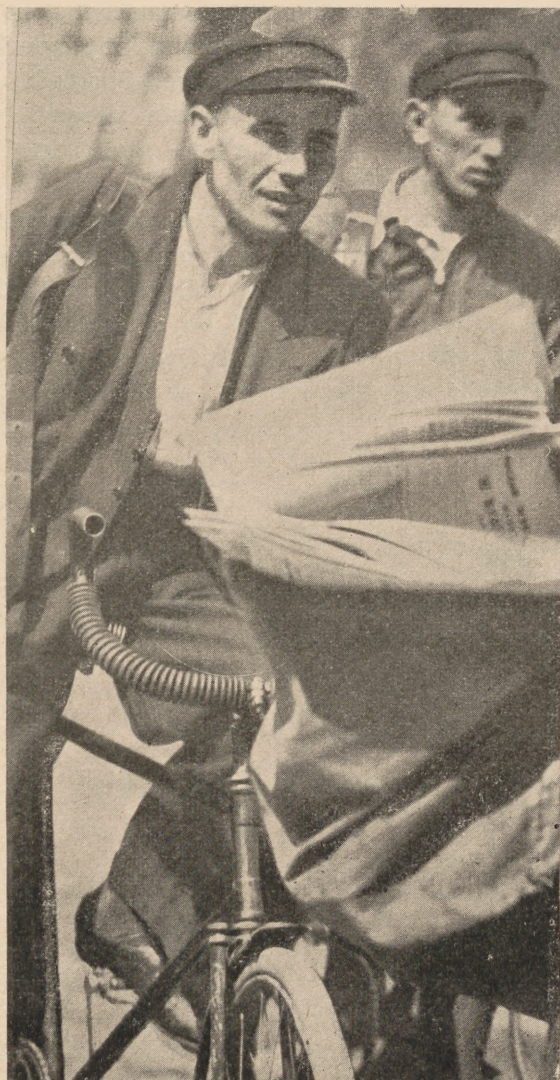
Są wielkie miasta w innych krajach, gdzie „tranzakcję” gazetową przeprowadza się bez słowa. Często sprzedawcy nie ma przy gazetach, a należność inkasuje miseczek — ale to nie u nas.

Od sprzedawcy zależy u nas powodzenie gazety, co najmniej w takim samym stopniu jak od jej treści i formy.

To nie gołosłowne twierdzenie. Już od szeregu lat pisma południowe i wieczorowe — opierające swe nakłady głównie na kolportażu

lotnym — wyprzedziły wielokrotnie w sprzedaży pisma poranne, które sprzedaje się przeważnie w kioskach stałych.

Więc (wracając do kolporterów) milcząca niewola nie trwała długo. Przymknął ktoś po-



blażliwie oko w urzędzie — ogluchli, jakgdyby, posterunkowi policji — a chłopcy znów objęli w posiadanie ulicę.

Przechodnia znów elektryzuja, wstrząsają, podniecają nieprawdopodobne tytuły i sensacyjne zapowiedzi. Doskonały psycholog — gazeciarz w lot zrozumiał nastroje i koniunkturę.

I handluje...

Znów z hyżością wyścigowców pędzą przez ulice, wymijają samochody, tramwaje juczni „majdaniarze“ na rowerach.

Warszawskiej ulicy powrócił rumieniec życia.

* * *

Istniał przy ul. Miodowej w Warszawie Klub Gazeciarzy. Kiedyś przed laty pojechałem tam „na święcone“ z wieloma kregami kielbasy w darze świątecznym od wydawnictwa.

Od tej pory, a zwłaszcza od momentu jak nie pozwoliłem ściągnąć sobie z pod ręki smakowitego baleronu, mam tam przyjaciół do zgonnych, pełnych szacunku i podziwu (to nie frajer. — mówiono o mnie za plecami).

Mówię — do zgonnych, bo od tego czasu wielu z nich już dawno na Bródnie — skończyło wędrówkę po ulicach Warszawy — a inni poszli w hierarchii gazetowej wyżej — lub wogóle zerwali z gazeciarsstwem — ale nigdy nie mogę odmówić sobie satysfakcji porozmawiania o tych dawnych, „klubowych“ latach.

Znam ich po imieniu. Ktoby tam doszukiwał się ich nazwisk.

Ale wiem, że Franek z Karolkowej przez cztery lata ojca, matkę i młodszego brata z gazeciarsstwa utrzymywał. Nie było dużo żeby mniej jak „piętaka“ do domu przyniósł. A jaki to był w domu autorytet! Ojciec, który roboty znikąd nie mógł dostać — oddał synowi pierwsze miejsce w domu a ten po latach znalazł mu robotę — biorąc od ojca solenne zapewnienie — że pić nie będzie.

Albo Michał z przed Okręgowego Sądu.

To był „cały hrabia“ z gazeciarskiej branży. Ani raz nie chybił jaką gazetę dać jakiemu mecenasowi lub sędziemu. Powodziło mu się dobrze — to też siostrę do matury prowadził. Raz zjawił się w redakcji. Nie wołał mnie przez woźnego tylko czekał aż wychodziłem.

Potem portier mówił mi, że czekał tam trzy godziny.

Szedł ze mną ulicą, w łeb się skrobał coś opowiadał — aż przystanąłem. Miał w ręku rulonik. Świadcstwo maturalne siostry. Chciał protekcji. Miał pareset złotych na książeczce. Chciał dla siostry od „Ruchu“ kiosk dostać gdzieś na stacji kolejowej.

Umówiłem się z nim wieczorem w klubie. Gdy przyszedłem tarosił się z lekarzem. Doktor P. wyrozumiały ale stanowczy kazał mu się rozebrać.

— Przecież od niego aż bucha gorączka — mówił — ściągnając mu przemocą koszulę.

Protekcja do „Ruchu“ okazała się zbyteczna. W dwa miesiące później przyszli do mnie koledzy Michała z klubu po składkę na jego pogrzeb.

Chciałem iść do dyrekcji wydawnictwa (zawsze mieli serce otwarte dla gazeciarzy). Nie dali.

— Sami sobie będziemy radzić, redaktorze, on im już niepotrzebny, gazet sprzedawać nie będzie...

Pogrzeb miał pierwszej klasy. Rzucili mu na trumnę całe pliki gazet — bardzo smutno, bez krzyków wracał z cmentarza honorowy szwadron rowerzystów.

A inny znów miał na imię Kazik — a przezwisko „Moniak“. Ten grał cały dzień w orla i reszkę. Gdy go gromiłem (po przyjacielsku) mawiał:

— Niech mi redaktor duszy nie ratuje. Taka już moja dola. Przedmiot zgubiony w tramwaju jestem.

Tacy są gazeciarze Warszawy. Żyją życiem dorosłych ludzi — tylko, że jeszcze — to surowe życie — nie zdążyło zabić w nich uśmiechu.

Starsi przesiadają się na rower. Na „majdan“. Torba na plecach — to w warszawskim światku gazeciarskim — odznaka nielada. Daje władzę i prawo karania. Nie ma apelacji od zarządzenia „majdaniarza“. On ma zawsze rację. Nie potrzebuje żadnej poręki za chłopaka, któremu daje gazety. Jest pewny swoich pieniędzy. W stosunku do niewiednych działa bardzo surowy „kodeks ulicy“.

To śródmieście...

* * *



Na krańcach miasta króluje niepodzielnie kiosk. Pani Józefowa czy Antoninowa jest źródłem wiadomości dobrego i złego.

Od wczesnego ranka do późnego wieczora nie ustaje „raje“.

— Moja pani, moja pani. Podobnie Hitler... I tak w kółko.

Ale o Hitlerze dobrze pomówić — ale gazetę trzeba przeczytać dla „powieści i romansu“.

Losy bohaterów powieściowych komentowane są jak dzieje osób żywych.

— Wi pani, że pewnie on z tej dziwki od krów śpiewaczkę zrobi... ten niby profesor... ale w starym piecu...

— Możliwe, możliwe, nie było to podobnie z innymi śpiewaczkami.

Gdy wszystkie gazety zostały przenicowane — na światło dzienne, z ciemnego zakamarku kiosku, wywleka się, zeszyt powieściowy.



— Czytać i płakać mówię pani. Będzie tego sto zeszytów.

„Grzeszna miłość“, „Zdradzony anioł“, „Na śmierć i życie związani“ — oto tytuły zeszytów. Sprzedaje się ich setki tysięcy.

To czarna karta czytelników Warszawy.

Ale od tego się zaczyna. Potem gust się poprawia. Już wyrosło takie pokolenie, które czytać się nauczyło na gazetach.

Czytali gorsze z początku — teraz gust im się poprawił — ale grunt — że czytają.

Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych i Budowlanych INŻ. STEFAN BONIECKI

WARSZAWA,
GÓRSKIEGO Nr 4
TEL. 2-37-74

Przedsiębiorstwo Przewozowe oraz roboty ziemne i drogowe HENRYK KUCZYŃSKI

GRÓJECKA 1
TELEFON 685-56

Przedsiębiorstwo Robót Drogowych, Fabryka Asfaltu i Papy Dachowej

WACŁAW KIEŁBIŃSKI

Warszawa, ul. Tyszkiewicza Nr 9.
Tel.: 280-75, 349-28 i 504-37.

Oddziały: 1) Wilno, ul. Ponarska 26, tel. 28-04
2) Łódź, ul. Wólczńska Nr 259,
tel. 279-15.

Józef Władysław Kobylański



Corocznie żywiołowe peregrynacje mieszkańców Warszawy do Lasku Bielańskiego w oba dnie Świąt Zielonych, mają swoją wiekową tradycję. Jednak oblicze tej zielonoświątecznej majówki zmieniło się znacznie z biegiem lat.

Przede wszystkim ząb czasu nie próżnował, tylko gryzł: Wisła podmywała z upartą konsekwencją brzegi bielańskie, zabierała je z sobą wraz z walącymi się drzewami, aż stwierdzono, że w ciągu stukilkudziesięciu lat brzeg Wisły wdarł się na sto metrów w głąb Lasku Bielańskiego. Poza tym pracowała tu uczciwie dewastacyjna ręka ludzka. Z dawnej podszytej kniei, którą tworzyły połączone z sobą Lasy Bielańskie i Marymonckie, został nikły skrawek. Tam, gdzie król Jan III polował na grubego zwierza, dziś stoją zabudowania, leżą orne pola.

Śpiewak bielański, autor poematu pt.: „Bielany“, drukowanego w roku 1827, zamyka go takim ustępem:

„Zegnajcie sępne miejsca! O! Bóg daj bym
przecie
Po chwilkę tych podumań, w pełnym cierni
świecie
Znalazł westchnień współnika, lotny wiatr
w powiewach,
Strumień łez towarzysza, a przyjaciół w
drzewach“.

Bądźmy spokojni, tych „przyjaciół“ przepędziło ostrze siekiery w barbarzyński sposób z Lasku Bielańskiego. Zmieniła się też fizjonomia wycieczkowiczów gruntownie, w sposób aż nadto demokratyczny. Na małych kartkach pożółkłej gazety z przed laty stukilkunastu czytamy:

„Przez rogatki marymonckie na Bielany przejechało wczoraj karet 79, koczów 438, dorożek 686, bryczek 870 i konno jadących 148“.

A dalej czytamy:

„Aleja, w której widywano tysiące dam, zajmujących wdziękami i gustownym ubraniem, była wczoraj jakby bezludna“.

Oto corso najwytworniejszego świata warszawskiego nie wytrzymało w tym dniu konkurencji z Bielaniem. Elita społeczeństwa, z panującym wówczas monarchą na czele, zjeżdżała do Lasku Bielańskiego. Tu w gustownie przystrojonych lokalach czy też pod namiotami bawiono się odpowiednio, przy dźwiękach doborowej muzyki i przy stołach o wyszukanych potrawach, węgrynach i szampnach, a wieczorem przy blasku lampionów i pomysłowych fajerwerków, zasypujących firmament rojem przepięknych, różnokolorowych iskier i gwiazd.

Tempora mutantur. Dziś panem Lasku Bielańskiego jest przeważnie proletariat miejski, a fakt ten wniósł z sobą oryginalny i swoisty tryb zabawy. Nie ma namiotów, wystarczają krzaki... Znikły wykwinne suknie zapinane pod szyją — są natomiast dekolty z obu stron aż do pasa; nie widać fraków, panowie w koszulach rozpiętych, z „sumieniem“ na wierzchu, z założonymi rękawami poza łokcie, jak ci



...Rozścielają płaszcze... płeć piękna się rozzuwa... پروiantura obfita... dziewczuszka oczkiem zawraca i pełnym kieliszkiem młodzieńca z prawa zaprasza...

bykobójcy w chwili wykonania wyroku śmierci nad spokojnym zwierzęciem, czasem z jakąś kacabąjką na rękę, by było na czym spocząć. Zamiast szampana znajdziesz porozbijane butelki po zwykłej okowicie, zwanej popularnie śmierdziuchą. Zniknęły na zawsze kolasy, landary, powozy, kabriolety i inne ekwipaże. Dziś lud sunie na Bielany per pedes apóstolorum czternastką, piętnastką, siedemnastką, trójką tramwajową lub autobusem specjalnym. Wyższa zaś klasa wycieczkowiczów jedzie parostatkami Wisłą.

Przyznać się muszę, że zachorowałem w tym roku ciężko na zabawę w Lasku Bielańskim, bowiem tyle o tej zabawie i jej uczestnikach nasłuchiwałem się dziwów, że mnie te zalotne warszawskie Dulcyneje i Beatrycze i ich szarmanccy adonisy i lowelasy nawet we śnie przesładowali.

Oprócz własnych kłopotów mam jeszcze władzę... w domu. Władza nie groźna, znana prawie każdemu w moim wieku, zresztą jak każda władza, czasem przeszkadza, a czasem dogadza. Zwierzyć się więc musiałem w domu z mego zamiaru, motywując go chęcią sprokrowania odpowiedniego reportażu dla „Stolicy“. I co państwo powiecie? Miałem wyjątkowe szczęście w tym dniu. Myślałem, że wygraliśmy główny los na loterii: żona była w dobrym humorze; a teściowa gdzieś się zawieruszyła u znajomych.

— Idź, ale ze Stasiem — zawyrokowała dobra i wyrozumiała władza. Jednak, gdy nie zobaczę twego felietonu w „Stolicy“ to...



Zielone Świątki.
Wio!... Wio!... na Bielany... do lasku...

Żyję w przyjaźni ze Stasiem Kellerem: w Krakowskim się urodził, a we Lwowie po „Kaizerwaldzie“ chodził i stamtąd się znamy. Znał go też pobłażliwi i wyrozumiali czytelnicy „Stolicy“, na którego łamach zamieszcza swe natchnione rysunki.

I poszliśmy, ja i Stasio na Bielany, na obserwację, na podpatrywanie...

— Ja będę zapisywał ciekawe momenty, a ty Stasiu zbieraj materiał do kilku rysunków.

Idziemy. Pogoda, o którą w tym roku rozbiło się już tyle projektów i planów, dziś jest jak z bajki. Tłumy już nie suną, ale płyną wprost: mamy nie mamy, ciotki nie ciotki, wujki prawdziwi i przybrani, dziewczęta i nie panienki z nałożonym na sztorc beretami na prawym uchu lub z zalotnie rozrzuconymi włosami obciętej fryzury. Trudno do dzisiejszej mody dopasować dwuwiersz dawnego poety bielańskiego:

„Jakież grono niebianek uderzyło oczy?

Poigrzywa wiatr płochy z splotami warkoczy“.

Na polance gromadka przy gromadce. Ptaszek przyspiewuje z wysokiego dębu, panowie, którzy mają — ściągając marynarki, rozścielają płaszcze, płeć piękna się rozzuwa, a chichocząc się rozkłada prowianturę: jajka na twardo, kabanosa zwoje, rzodkiewki kilka pęków, funt „krowentalera“, no i dwie flaszki „okowity“. Tu jedzą, tam tańczą, ówdzie starsi posnęli, a córki na wydaniu oczkami zawracają, pełnym kieliszkiem młodzieńca z prawa zapraszają. Tam znów jakiś jegomość w skórzanej kurtce objął w ramiona sosnę — weterana, głowę pochylił, co chwila kark prostuje..., świadcząc, że „ma już dosyć“, względnie udowodniając, że „miał za dużo“...

Idziemy do tak zwanej „sali tańca“. Jest to podłoga na wolnym powietrzu z dachem na czterech słupach na wypadek deszczu. Tu sobie używają kuchenne Mańki i piesszczotliwe hafciarki Jadźki. Tańczą wprawdzie ze sobą, nie trwa to jednak długo, wnet bowiem jak nie

jedna to druga lub obie wpadają w długie i szerokie łapy dryblasów podmiejskich i idzie „husia — siusia“ na potęgę:

„Pierś przy piersi coraz bliżej,
Pędzą pary w koło sali,
Wciąż szalenię, czym raz chyżej,
Jak wezbranej potok fali“.

Ona: to cudo, istna zjawa, gracja, rozkoszna jak pierzyna, woniejąca na kilkanaście metrów jakąś dziwną „eau de Cologne“, jakby całego wykupiła. Drobne usteczka rozwarłe skromnie, delikatnie, niczym dwa banany leżące obok siebie, wewnątrz pełno złotego umeblowania, w nęcących oczach piwnych — wiadro zadowolenia ze siebie, z dansera, z ludzi, którzy rojem obstąpili szopę taneczną.

On: to lew „salonowy“. Kraciasty kaszkiet z kilometrowym daszkiem, z fantazją na bakier nałożony, cygaro „w twarzy“, energicznie wiruje z Wiśką z Powiśla, prototypem pożarniczego beczkowozu magistrackiego. Końce krawatu dwumetrowej długości fruwały za nim, by ogony komety. Pożądliwy wzrok zanurzył głęboko w dekolt danserki. Tango, walczyk, jedno po drugim bez przerwy, wreszcie zawrotny fox-trot z odbijaniem i siadaniem. Harmonia-pedałówka pracuje bez wytchnienia. Pograżone w marzycielskim uniesieniu pary skłębily się: nie odgadniesz kto z kim tańczy, każdy wybija takt obcasem, podłoga oddaje nieprzerwany i nierówny łoskot, przypominający dawny ogień huraganowy na włoskim froncie. Mój Boże!... Hej!... austriacki „Trommelfeuer“... dziewczęta piszcza: tej jakiś żubr nadeptał nóżkę sarnią, tamta jemu na nagniotek korkiem wlaża; tę ktoś popchnął z tyłu, że głową uderzyła się z danserem, aż im świeczki w oczach zapłonęły; tam znów ktoś uszczypnął za silnie kokietkę i powirował dalej; inna smukła jak tyczka grochowa dostała między żebra kościstym łokciem szalejącego w tańcu Bronka z Woli. Ówdzie znów Franka nie wytrzymała podrażnienia kurzem, którego kłęby spowiły płaszące pary i kichnęła trzy razy z takim powabem i łoskotem, jakby się załamały wiązania dachu. Aż mistrzowi harmonia z rąk wypadła.

Umilkły tony słodkie... i kołyszące... jako ta pieśń weneckich gondolierów. Sfatygowane pary ocierają pot z czoła, poprawiają garderobę, Felek nalepił pod okiem trzy centymetry plastru czarnego, bo mu któraś z tańczących dziewczę pierścieniem po twarzy w czasie tańca zajechała. Inna drugiemu narcyz w oko wpakowała; tamten z niewytłomaczonego na razie dla mnie powodu co chwila trzyma się za szczękę, ale oto stojący obok niego kolega z Pelcowizny wyśmiewa go, nucąc:

„Tańcowała Mańka z Wickiem,
Wybiła mu zęba... nosem...“

Idziemy dalej. Co krok jakiś magik z lodami (po 5 groszy) w konewce o mocno podejrzanym konduku. Tu w lokalu „lody po 10 groszy dziś — jutro za darmo“.

Karuzel pracuje sumiennie w takt tanga i innych naleciałości zagranicznych. Ani jednej swojskiej melodii nie usłyszałem. Zakląłem, a zawtórował mi swym szumem, jakby w podzięce, Lasek Bielański, pamiętający przecież inne też czasy... Pary, które się poznały przed paru minutami, jadą z osobna na koniach, te pary zaś których znajomość jest już bardziej zażyła i dłuższa, trwająca przynajmniej jedną godzinę, wsiadają przytuleni do siebie do łódek lub powozów. Karuzel ich kręci, a on... kręci jej głowę...



...Wszyscy bawią się wesóło... husia-siusia... rach-ciach-ciach...

Wł. Zawistowski

Repertuar Teatru Narodowego

Niekoniecznie tego, który stoi ukryty za prawym skrzydłem przepięknej kolumnady Corazziego z pomnikiem Wojciecha Bogusławskiego przed głównym wejściem. Niekoniecznie w stolicy Państwa, w Warszawie. Tego teatru Narodowego, który dziś w Polsce ma do dyspozycji wiele teatralnych budynków, który pod niewidoczną kopułą obejmuje i Narodowy i Polski w Warszawie, i pełen świetnych tradycji teatr Krakowski, i scenę teatru Wielkiego we Lwowie, i wileńską Pohulanę, i Poznań, i Katowice i wiele innych scen wraz z szerokimi szlakami teatrów objazdowych, tych najbardziej bliskich praktyce Wojciecha Bogusławskiego, który nie z budynkiem, nie z miastem nawet, ale z swoją własną pasją teatralną, świadomą zadań obywatelskich, łączył w swoich czasach nazwę Narodowego Teatru.

Chodzi nam oczywiście o repertuar tego teatru polskiego, który ma reprezentować naszą narodową kulturę teatralną, jej społeczną świadomość, no i poczucie narodowej służby, skoro właśnie jesteśmy narodem, który nigdy tej służby nie może się wyrzekać, jak wskazuje historia naszej przeszłości, naszej teraźniejszości — i dalekiej jeszcze przyszłości.

Dwojako można tak pojęty teatr Narodowy kształtować: jako akademię literatury dramatycznej i jako „zwierciadło epoki“ wedle nieśmiertelnych słów królewicza duńskiego Hamleta. Akademia literatury dramatycznej, a więc teatr grający arcydzieła literatury narodowej oraz te z pośród arcydzieł literatury światowej, które weszły do kultury naszego narodu — nie może być jednocześnie „zwierciadłem epoki“. Rozchodzimy się tu ze zdaniem Hamleta, który daje nam właśnie przykład, jak mamy łączyć teatr „klasyczny“ z teatrem „epoki“. Z pośród licznych sztuk grywanych przez ówczesne teatry wędrujące wybrał jedną o morderstwie Gonzagi, mającą akcję zbieżną z wypadkami rozgrywającymi się na dworze elzynorskim. Ale i tę sztukę musiał sam uzupełnić własnymi wstawkami, aby odpowiadała cwojemu celowi. A jakim to był cel? Oddziaływać bezpośrednio na dusze widzów, przemówić do nich osobiście, targnąć ich sumieniami.

Teatr-akademia musi być teatrem repertuaru pośredniego, rezygnującego z wszelkich adaptacji tekstowych, z wszelkiego apelowania do widza słowami znajdującymi w nich oddźwięk automatyczny. Jest to przede wszystkim teatr Człowieka, jego doli tragicznej i cierpień niezależnych od epoki i od wypadków zewnętrznych. Im potężniejsza bowiem koncepcja tragiczna człowieka, tym bardziej jest typowa i konieczna, wynikająca z samej struktury bytu, wspólna dla wszystkich ludzi, dla każdego środowiska. Koncepcja tragiczna człowieka jest koncepcją wyrównawczą jego losu: na jednej płaszczyźnie etycznej stają tu obok siebie zbrodniarz i jego ofiara, grzesznik i pokrzywdzony, zwyciężony i zwycięzca. I tylko coraz to inny styl ujmowania tej tragedii człowieka wytwarza historyczną progresję następujących po sobie epok artystycznych. Bohaterka „Szaleństwa“ Peyret-Chapuis, która sięgnęła na siebie niejednym zarzut obrońców etyki życia rodzinnego, jest nie tylko młodszą o trzy wieki siostrą Racinowskiej Fedry, ale i produktem naszej epoki, dla której współczesna Fedra byłaby kształtem moralnym o zbyt okrutnym zabarwieniu.

Dramat klasyczny, nie przedstawia tylko tragicznej koncepcji człowieka — bohaterem jego może być grupa ludzi, cała klasa społeczna, wreszcie naród cały. Właśnie literatura polska, w której zagadnienie bytu całego narodu doszło do tak potężnego wyrazu, jest tego najlepszym przykładem. Tragiczna koncepcja narodu — to koncepcja narodu walczącego, cierpiącego i ginącego. Wielkość tej literatury polega właśnie na wydobywaniu tych pierwiastków wiecznych życia każdego narodu, który, jak człowiek, jak cała przyroda wreszcie na-

rażony jest na mocowanie się z klęską. Wielki dramat narodu — bohatera tragicznego mógł powstać w Polsce w epoce jego tragedii politycznej — i dziś należy do teatru-akademii, do teatru pośredniego, który wprowadzie z naszym życiem współczesnym nic już na szczęście nie ma wspólnego, ale który stawia nam przed oczy tragiczną epokę minioną i jej artystyczne odbicie w sztuce teatru. Wymaga on od widza tego głęboko kulturalnego nastawienia, które pozwala na zrozumienie „klasycznych“ właśnie elementów tej sztuki. Odczuć bowiem nie-
szczęście Orestesa, zmuszonego do matkobójstwa aby pomścić śmierć ojca, współczuć z Fedrą która rozpacza na wieść o powracającym cało Tezeuszu, o którym przypuszczała, że zginął, zrozumieć piękno ginących Wenedów i oddać im palmę zwycięstwa w chwili, gdy Lechici na trupach broniącego swą wolność narodu budować poczynają państwo najeźdźców — może tylko człowiek, który poszukuje w teatrze prawd wiecznych, ogólnych, oderwanych od teraźniejszości, nie widzący w sztuce odbicia swojej epoki, lecz odbicie wieczności, o której w życiu praktycznym nie może pamiętać pod grozą słabości i przegranej. Człowiek, który wyczyta z „Wesela“ tragedię niemocy narodu, tragedię o wiecznej aktualności nawet wówczas, gdy naród czuje się skupiony i silny.

Tak pojęty repertuar Teatru Narodowego będzie bogaty, konstruktywny i rozległy. Ale nie należy się łudzić, że będzie bezpośredni i związany z wypadkami historycznymi naszych dni. Będzie „akademicki“ i „klasyczny“, będzie pozornie daleki od chwili bieżącej, będzie kształtował wyobraźnię narodową, ale nie będzie oddziaływał na wolę narodu. Przy najmniej bezpośrednio.

Dlatego to wielkie chwile dziejowe nie sprzyjają powstawaniu wielkich dzieł dramatycznych. Okresy nabrzmiały od doniosłych wypadków posilkują się w sztuce formami tworzonymi pośpiesznie, formami nadającymi się do apelów, pobudek i demonstracji. Nie mają wyrażać wątpliwości, nie mają grażyć w głąb, mają formułować pewniki i wyrażać niezachwianą wiarę, mają uzewnętrzniać zdecydowanie jednostki i siłę narodu. Legiony Dąbrowskiego stworzyły mazurek „Jeszcze Polska nie zginęła“, a Wojciech Bogusławski czasu kościuszkowskiej insurekcji grywał w coraz to nowych wersjach „Krakowiaków i Górali“, gdy „Dziady“ przyszły po listopadowej klęsce. Dramat Wyspiańskiego przygotowywał nową falę walk o niepodległość bijąc i smagając swoją współczesność. Ale podczas wielkiej wojny największy po Wyspiańskim polski dramaturg Rostworowski pisał dramat — o Kaliguli.

Teatr naszej epoki jest przede wszystkim teatrem społecznym. Nietylko w krajach totalistycznych, gdzie poprzez zorganizowaną zgóry widownię przepędza się miliony zszeregowanych widzów, ale nawet i w Polsce, gdzie samo społeczeństwo wytwarza organizację widowni i czyni z teatru jedną z dźwigni masowego kształcenia, scena narodowa stała się synonimem nie ducha narodu, ale zbiorowego przeżywania wzruszeń, które te masy nurtują. Repertuar tak pojętego teatru musi być repertuarem o wiele popularniejszym i bezpośredniejszym niż teatru-akademii. Musi on często rezygnować z wysokiego poziomu artystycznego, a przede wszystkim — musi przesuwąć punkt ciężkości tego repertuaru ku komedii. Komedie bowiem o wiele bardziej bezpośrednio traktować może zagadnienia współczesności, poprzez śmiech i satyrę docierając o wiele łatwiej do każdego widza. Jeśli zaś komedia potrąca o nuty poważniejsze, jeśli podejmuje omówienie pewnych zagadnień głębszych natury psychologicznej, obyczajowej czy społecznej, to nie obowiązuje jej nigdy wyciąganie ostatecznych konsekwencji, może z łatwością

zatrzymać się na zgóry wyznaczonych punktach widzenia, dzierżąc na wędzidle woli pisarza — jego myśli i uczucia. Repertuar tego teatru może również z łatwością sięgać do tematów historycznych, nie wyszukując momentów charakterystycznych dla dziejów ludzkości, lecz dla tez politycznych zgóry dobranych. Rzecz prosta, że nie będą to dzieje Henryków i Ryszardów Szekspira, Eryków Strindberga czy Bolesławów Wyspiańskiego. Niestety i w tej dziedzinie literatura polska posiada zbyt mało utworów wyszłych z pod pióra znakomych pisarzy, pozbawiając nasz teatr takich pozycji, jakie zajmują w literaturze niemieckiej „Götz von Berlichingen“ Goethego czy „Prinz von Homburg“ Kleista.

Polski teatr narodowy nie posiada więc do tej pory swego jednolitego repertuaru. Jeżeli przystąpić do układania go nie w kancelarii teatralnej, lecz w bibliotece wypełnionej bogatym księgozbiorem, trzeba wybierać pomiędzy utworami wysokiej wartości artystycznej, oddalającymi nas od napięć ideologicznych współczesności, a autorami pulsującymi chwilą bieżącą, trafiającymi łatwo do każdego słuchacza, lecz z rzadka tylko zasługującymi na miano dzieł prawdziwego arcyzmu. Połączenie dopiero tych dwu kategorii, dokonywane z niezmierną oględnością, prowadzić może do repertuaru, który obowiązuje teatr narodowy. Ale do tego potrzebna jest powszechna świadomość kryteriów i piętrzących się trudności, kollaboracja pomiędzy teatrem, pisarzami i krytyką, nie zaś maksymalizm żądań, które mogą znaleźć pokrycie tylko w świecie nikogo nie obowiązującej fikcji.

Polski Hamlet jako dyrektor teatru bardzo rzadko znalazłby dla swojej sceny swoje „Morderstwo Gonzagi“. Musiałby, pieczołowicie pielęgnując wyjątki, które każdy prawie umie wymienić, iść drogą podwójną: budowania repertuaru dla powoli rozszerzającego się kręgu widzów wtajemniczonych, i korzystania z dzieł popularnych, których spragnione są szerokie masy widzów.

Bowiem termin „narodowy“ w dziedzinie repertuaru nosi w sobie wszelkie cechy dwuznaczności — oznacza szczyty myśli, uczuć i ideologii narodowej, ale oznacza też szerokie masy narodu, które mają prawo do swego powszechnego teatru.

W. TOMASZKIEWICZ

Przedsiębiorstwo Urządzeń Sanitarnych

Warszawa 12, kol. Służewiec ul. Jagielly
Tel. 4-13-49.

Kanalizacja, Wodociąg, Ogrzewanie centralne, Wentylacje, suszarnie, Pralnie mech. Kuchnie parowe, Kapie-liska i t.p. Urządzenia zdrowotne. Projekty, kosztorysy. Dozór techniczny.

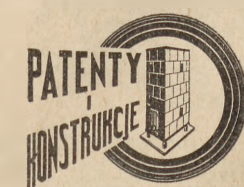
PRZEDSIĘBIORSTWO W I E R T N I C Z E

I. PRZEZDZIECKI

Warszawa — Wola, ul. Jana Kazimierza 13.
Tel. 650-24.

Wiercenie studzien.
Badania gruntów.
Aparaty badawcze.

WACŁAW NOWACKI



ZAKŁAD ZDUŃSKI
I WZOROWNIA

DLUGA 46

Tel.: 11-35-02 i 11-38-27

SETKI TON ŻELAZA NA F. O. N.

Ulica Chmielna na przestrzeni od Marszałkowskiej do Nowego Światu otrzymała nareszcie właściwe oświetlenie. Lamy elektryczne zawieszono na drutach rozpiętych między domami. Jest to sposób powszechnie używany na wąskich ulicach, a jednak w Warszawie dotychczas nie stosowany. Zarząd Miejski nie ma podstawy prawnej do zmuszenia właścicieli domów, aby zgodzili na przytwierdzenie drutów do ścian ich kamienic, skutkiem czego zmuszony jest nawet na ulicach bardzo wąskich i ruchliwych ustawiać słupy-latarnie. Słupy są

kosztowne, tamują ruch, a oświetlenie ulicy nie jest właściwe, ponieważ źródła światła rozmieszczone są zrygzykiem, na czym traci perspektywa ulicy. Właściciele domów, którzy chętnie nazywają się obywatelami miasta, trwają jednak w niczym nie uzasadnionym uporze, narażając miasto na niepotrzebne wydatki i na ujemne wyniki. Jakoś przy ulicy Chmielnej złośliwy ten upór udało się po długich korowodach przełamać.

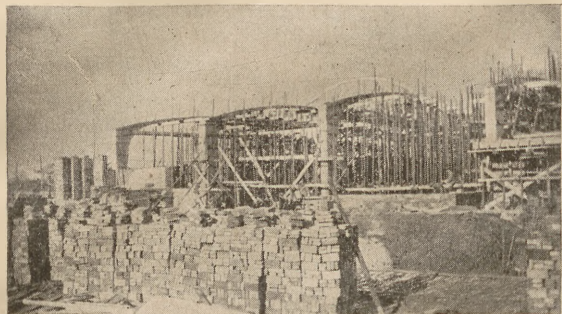
Wiadomo, że obrona Państwa wymaga ogromnej ilości żelaza, że z braku dobrych rud

sprawdzamy całe okręty zagranicznego złomu. Czy nie byłby teraz właśnie czas, na ulicach śródmieścia węższych niż 20 m zastąpić latarnie lampami wiszącymi nad środkiem jezdni na rozpiętych między domami drutach? Jeżeli pp. kamieniczników nie poruszy patriotyzm lokalny, może poruszy ich patriotyzm państwowy i zrezygnują ze swego dotychczasowego stanowiska, a wtedy nie potrzebne słupy możnaby oddać na FON.

A. L.

Wielkie Hale Targowe na Bielanach

Miejska Hala Targowa wykonywana przez firmę „E. Uderski i Ska” znajduje się na granicy Żoliborza, Marymontu — Bielan i ma za zadanie obsłużyć tych wszystkich dzielnic. Wszystkie warszawskie hale targowe datują się jeszcze z okresu przedwojennego i nie odpowiadają dzisiejszym wy-



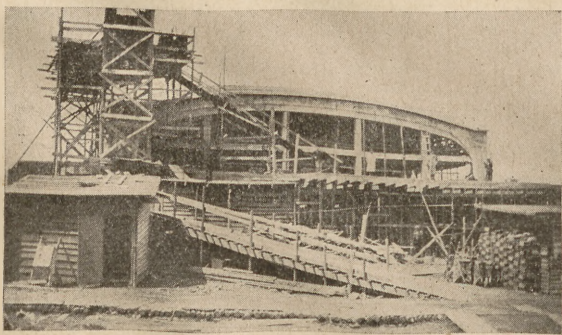
Widok ogólny szalowań.

mogom tego rodzaju budownictwa. Zarząd Miejski chcąc stworzyć dla stolicy halę wzorową, przeprowadził dokładne studia nad nowoczesnymi halami powstałymi zagranicą i na ich podstawie dostosowując doświadczenia innych do naszych potrzeb, buduje halę, która ma być wzorową i stanowić jakby model mających powstać w najbliższej przyszłości innych dzielnicowych hal.

Obecnie buduje się tylko połowę hali, która w przyszłości ma być przedłużona równolegle do ul. Słowackiego.

Hala Targowa obejmuje:

- 1) halę właściwą,
- 2) podziemie z chłodnią,
- 3) sklepy zewnętrzne i
- 4) skrzydło administracyjne.



Widok boczny.

1) W hali właściwej o powierzchni 750 m² (30 x 25) i wysokości około 11 m urządzone będą wzdłuż ścian jatki mięsne i baseny rybne wyposażone w glazurowe stoły, bieżącą wodę, ścieki i inne potrzebne urządzenia. Wewnątrz znajduje się również pomieszczenie dla herbaciarni i mycia jarzyn.

W części środkowej znajdować się będą stragany z jarzynami, nabiałem, mięsem itp. W połowie wysokości hali przebiegać będzie galerijka dla obsługi. Dostęp do hali prowadzić będzie równorzędnie z czterech stron przez szerokie po 5,00 m wrota tak, by móc nawet umożliwić wjazd samochodów do wnętrza. Wrota tylne przeciwległe do ul. Słowackiego przewidziane są specjalnie dla dostawy towarów.

2) Przestrzeń hali właściwej pokrywa wysoka piwnica. Połowa jej przeznaczona jest na chłodnię podzieloną na cztery kamery z różną temperaturą chłodzenia i wyposażone w nowoczesne maszyny chłodnicze. W drugiej części piwnicy znajdować się będą boksy do wynajęcia dla poszczególnych osób.

Główny dostęp do piwnicy odbywa się przez szerokie i wygodne schody oraz zapomocą dźwigu elektrycznego, które są umieszczone przy wrotach przeciwległych do ul. Słowackiego.

3) Z trzech zewnętrznych stron hala jest otoczona sklepami indywidualnymi dostępnymi bezpośrednio od zewnątrz.

Sklepy mają wielkie okna wystawowe i wyposażone są w wszelkie instalacje, które pozwalają na korzystanie z nich jako sklepów spożywczych bądź też innych. Również od strony zewnętrznej znajdują się specjalnie urządzone: rzeźnia drobiu i flaczarnia.

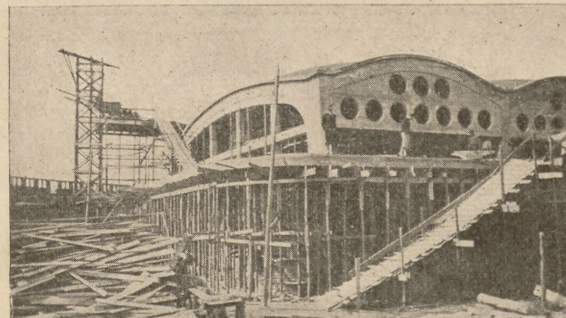
4) Skrzydło administracyjne przylegające do hali od strony przeciwległej do ul. Słowackiego zawiera biura i mieszkanie dozorczy. Prócz tego obszerne ustępy, maszynę oraz kotłownię centralnego ogrzewania i wentylacji.

Konstrukcja hali jest zaprojektowana jako najnowocześniejszy, znany obecnie system sklepień żelazobetonowych to zn. łupniowych. Dzięki tej konstrukcji pokrycie na całej hali wynosi tylko 8 cm i całe wnętrze jest zupełnie wolne od słupów.

Architektura jest ściśle z tym systemem konstrukcyjnym zespolona. Hala wznosi się w postaci 3 żagli na ścianach pionowych. W ścianach tych wykonane okrągłe otwory okienne oświetlają wnętrze. Ponad sklepami przebiega daleko wysunięty okap podkreślający charakter handlowy hali. Część dolna

hali wyłożona będzie ceramiką a wrota i okna wykonane będą w żelazie.

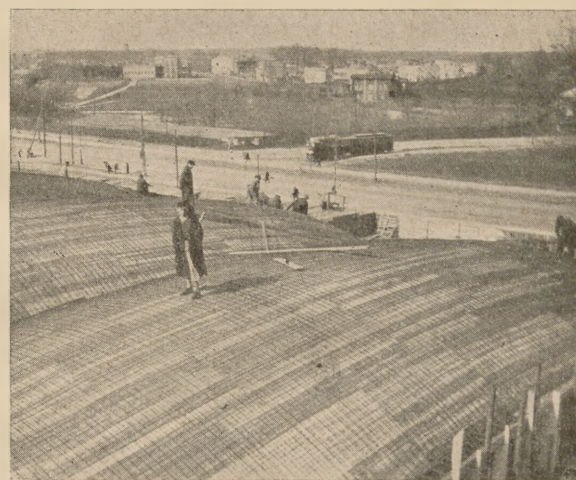
Hala będzie ogrzewana zapomocą nagrzewnic paropowietrznych, które jednocześnie zapewnią doskonałą wentylację wnętrza. Sklepy i administracja będą ogrzewane kaloryferami.



Widok po rozszalowaniu od narożnika ul. Słowackiego.

Lamp wiszących w wnętrzu hali nie będzie, gdyż zastępują je latarnie stojące dające światło rozproszone.

Ogólna powierzchnia zabudowania hali wynosi 1320 m². Kubatura około 14 000 m³. Halę projektowali arch. inż. St. Marzyński i inż. bud. W. Michniewicz. Budowę wykonuje znana firma Przedsiębiorstwo budowlane żelazo-betonowe E. Uderski i Ska, pod kierownictwem inż. J. Nowakowskiego.



Zbrojenie łuków.

JUŻ SIĘ UKAZAŁY W SPRZEDAŻY
P A P I E R O S Y
„DAMES--FILTR”
i „B A Ł T Y K”

ZAOPATRZONE W FILTR Z LIGNINY,
KTÓRY ŁAGODZĄC DYM, PODNOSI
ZNAKOMICIE ICH SMAK I AROMAT

ś. † p.



PAULINA STARZYŃSKA

Już po zamknięciu numeru dobiegła nas bolesna wiadomość, że dn. 29 maja zmarła w naszym mieście PAULINA z CHRZANOWSKICH STARZYŃSKA, małżonka Prezydenta Warszawy.

Przedwczesny zgon ś. p. Pauliny Starzyńskiej, to nie tylko cios dla Jej Małżonka, ale również niepowetowana strata dla szeregu instytucji społecznych, w których z takim poświęceniem pracowała ś. p. Małżonka naszego Prezydenta. A praca ta obejmowała wielki i nader odpowiedzialny teren placówek miejskich. W obszernym zasięgu znalazła się przede wszystkim najuboższa dziatwa i młodzież Stolicy, dla której ś. p. Paulina Starzyńska była niewyczerpanym źródłem otuchy, pomocy materialnej i moralnej. Ponadto ś. p. Małżonka Prezydenta Starzyńskiego była gorącą protektorką Domu im. ks. Boduena, Towarzystwa Przyjaciół Dzieci Ulicy, akcji kolonii i półkolonii letnich. Nie mniej ściśle zbliżenie między ludnością Stolicy a wojskiem — to niezapomniany trud ś. p. Pauliny Starzyńskiej, z inicjatywy której i pod Jej przewodnictwem powstało przed trzema laty Tow. Przyjaciół pułku „Dzieci Warszawy“.

Za swoje liczne zasługi na polu pracy społecznej ś. p. Paulina Starzyńska została odznaczona orderem Polonia Restituta.

Cześć pamięci jednej z najofiarniejszych Polek i najwzorowszych obywaterek Warszawy.

Panu Prezydentowi, Stefanowi Starzyńskiemu, składamy najserdeczniejsze wyrazy gorącego współczucia.

KRONIKA PRACOWNICZA

W dniu 19 b. m. przybyła do Warszawy w liczbie 560 osób, wycieczka pracowników Zakładów Przemysłowych z Trzyńca na Zaozliu. Uczestników wycieczki w imieniu władz i pracowników Gminy m. st. Warszawy przywitał Dyrektor H. Pawłowicz. Po zwiedzeniu najciekawszych zabytków Stolicy i uroczystym złożeniu wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza, wycieczka podejmowana była herbatką w sali kolumnowej Ratusza. Serdeczny nastrój towarzyszący przyjęciu naszych gości, był najlepszym wyrazem braterskich uczuć, jakie łączą pracowników miejskich i ludność Stolicy ze społeczeństwem ziemi zaozlińskiej.

Wycieczka Zaozlińców była odpowiedzią na wizytę pracowników Gminy m. st. Warszawy w Cieszynie i w Trzyńcu — w listopadzie ubiegłego roku.

Zdrowie narodu podstawą jego tężyzny i siły — oto myśl przewodnia Centralnego Biura Wczasów, oragnizacji obejmującej swym zasięgiem obszar całej Rzeczypospolitej.

W dniu 17 b. m. odbyło się posiedzenie Oddziału Warszawskiego Centralnego Biura Wczasów, przy udziale przedstawicieli: Pracowniczej Komisji Samopomocy Społecznej Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie, Towarzystwa Cyklistów, Towarzystwa Krajoznawczego, Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej Kobiet, Towarzystwa Wędkarzy, Związku Harcerstwa Polskiego i Związku Letniskowo-Turystycznego Województwa Warszawskiego.

W toku obrad podniesiono, iż ludność Warszawy w 80% nie korzysta z żadnych wyjazdów urlopowych na wieś lub letniska. Ten rodzaj wypoczynków dla

szerokich rzesz robotników, rzemieślników, ludzi pracy najemnej oraz ich rodzin jest dziś jeszcze zupełnie niedostępny.

Ludność wielkich miast karleje i podupada na zdrowiu. Pochodowi zła należy postawić radykalną i celową tamę. Wyjście w obecnych warunkach jest narazie jedno. Jest nim udostępnienie i propaganda wśród uboższej ludności wypoczynków niedzielnych i świątecznych.

Wstępem do ugruntowania wśród ludności robotniczej Stolicy przeświadczenia, o niezbędności i pożytku dla zdrowia takich krótkich wypoczynków na świeżym powietrzu, będzie organizowanie przez Centralne Biuro Wczasów i instytucje z nim współdziałające wyjazdów grupowych, bądź wędrowek pieszych w każde święto i niedzielę do miejscowości podstołecznych bogatych w las, wodę i zdrowe powietrze. W tym względzie współpracę swą zadeklarowały wszystkie wymienione na wstępie organizacje. Miejmy nadzieję, iż okres wyjazdów organizowanych, przyczyni się do powstania pożytecznego dla zdrowia przyzwyczajenia wyjazdów indywidualnych. Czym są dla zdrowia takie wyjazdy, o tym pośrednio świadczyć może przykład społeczeństwa angielskiego. Dla przeciętnego Anglika nie ma sprawy tak ważnej, która by zdolna była powstrzymać jego wyjazd na sobotni i niedzielny week-end. Społeczeństwo angielskie docenia należycie sprawy zdrowia i tężyzny obywateli dla swego narodu i państwa.

W zakończeniu obrad powołana została do realizacji przyjętego programu, Podkomisja Wczasów Świą-

tecznych Centralnego Biura Wczasów, w skład Prezydium której weszli: pp. Jan Kempfi, Henryk Wechsler i O. Zacharzewski.

Fabryka Wyrobów Stolarskich E. WRZESIŃSKIEGO

Warszawa-Grochów, ul. Grenadierów Nr 30
Tel. 10-19-90.

ROBOTY BUDOWLANE, MEBLOWE, TECHNICZNE
I WSZELKIE W ZAKRES STOLARSTWA WCHODZĄCE.

Inż. Stanisław CZERWONKO

PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE
Warszawa, ul. Filtrowa 59 m. 24, tel. 9-62-15

PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT ZDUŃSKICH STEFAN BOGUSŁAWSKI

WARSZAWA, UL. ŚNIADECKICH Nr 3. TEL. 8-43-65
Wyrób własny kafli, żelastwa piecowego i kuchennego.

Władysław PŁACHCIŃSKI

MAŁARZ
Warszawa, ul. Chocimska Nr 7, tel. 4-29-89



...To są dwa orły, ale nie tej samej rasy...

ILUSTRACJE ZAGRANICZNE
PO HISTORYCZNEJ MOWIE
P. MIN. BECKA.



Orzeł Polski: „Chcesz odpowiedzi... spojrzysz na mój dziób i szpony...”



Czechostowacja błaga Polskę o pomoc.

WYDAWNICTWO PRACOWNICZEJ KOMISJI SAMOPOMOCY SPOŁECZNEJ w MIEŚCIE STOŁECZNYM WARSZAWIE.
REDAKCJA i ADMINISTRACJA — ul. Koszykowa 9, tel. 7-26-31. REDAKTOR z ramienia P. K. S. S. Roman Zrębowicz.

CENA ZA EGZEMPLARZ 25 GR.